



OSTATNI

M O H I K A N

Copy 2011 *Superbu*



OSTATNI
MOHIKAN.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z ROKU 1757.

JAKÓBA FENIMORA KUPERA.

TŁUMACZONA

PRZEZ

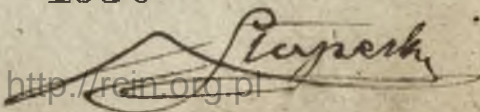
FELIXA WROTNOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

WYDANO.

W DRUKARNI B. NEUMANA.

1830.


<http://rcin.org.pl>



Dozwala się drukować, z warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1829 roku d. 13 Lipca.

Cenzor Leon Borowski.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

15.435/1

PRENUMERATOROWIE.

exemp.

Antoniewiczówny Emilija i Ludwika	1.
Białtozorówna Anna	1.
Białtozorówna Brygida	1.
Białtozorówna Eleonora	1.
Białtozorówna Karolina	1.
Bogusławski Antoni Rejent Ziem. Pttu Kijow .	1.
Bołcewicz Ignacy Sędzia Gran. Guber. Wileń.	
i Kawaler	1.
Bołsunowski Łukasz Podśędek Pttu Machnow. .	1.
Borch Michał Hrabia	1.
Bortkiewicz Józef	1.
Braun Józef Adwokat Sądu Gł. Grodzień. . .	1.
Broniewska Józefa	1.
Bujnicki Jan Deputat Szlach.	1.
Bujnicki Kazimirz Marsz. Pttu Rzerzyc. . . .	1.
Bukowski Adam	1.
Czygaref Konstanty Sekretarz Sądu Gł. Wileń.	
I. Depart.	1.
Dąmbrowska Weronika Marszałkówna Pttu Troc. .	1.
Dmochowski Michał Pis. Sąd. Kom. Eduk. Lit. .	1.
Dowgird Józef Sędzia Gran. Guber. Wileń. . .	1.
Dowiat Kalixt Marsz. Pttu Szawel	1.
Draczewski Felix Chorąży Pttu Lipow.	1.
Giecołd Wincenty Sekret. Rządu Uniwer. Wileń. .	1.
Giedrojć Xiążę Józef Jenerał wojsk Francuz. . .	1.
Glücksberg Teofil Typogr. Ces. Uniwer. Wileń. .	50.
Gojrzewski Adolf. Deputat Sądu Gł. Kijow . . .	1.
Gojrzewski Cypryan Podkom. Pttu Wasylk. i	
Bohusł.	1.
Gorski Józef Marszałek Gubern. Wileń.	1.
Gruszczyński Piotr S. S. P. L.	1.
Gruźdź Leon	1.
Heruhowicz Tomasz b. Podkom. Pttu Szawel . .	1.

Hoffman Józef	1.
Janczewski Walery	1.
Januszewski Jan Sędzia Ziem. Upitski	1.
Januskiewicz Eustachy	1.
Jasiński Jan Rejent Ziem. Upitski	1.
Jeleński Romuald Assessor Sądu Głł.	1.
Jeziernski Edward	1.
Ihnatowicz Konstanty Podporucz. Półku Wileń.	1.
Jodkowska Maryanna	1.
Jodziewiczówna Kazimira	1.
Iwaszkiewicz Tomasz	1.
Karczewski Józef Adw. Sądu Głł. Wileń.	1.
Karłowicz Bernard Pisarz Ziem. Pttu Troc.	1.
Karnerowa Franciszka	1.
Karwicki Kazimirz	1.
Karwowski Antoni Assessor Pttu Dyneburg.	1.
X. Kisielewicz Pleban Jużyntski	1.
X. Klimezycki Franciszek Pleban Abelski	1.
Klimauska Karolina	1.
Kobierski Leon Rejent Ziem. Pttu Tarasz.	1.
Kobyliński Józef Kapitan Wojsk Ros.	1.
Kolkowski Bazyl Sowiecnik i Kawaler	1.
Kołataj Alexander Uczeń Uniw. Wileń.	1.
Komorowicz Matrucey Assessor Sądu Głł. Kijow	1.
Komorowska z Engelhardtów Połkownikowa	1.
Komorowska Marya z Nowickich	1.
Kończa Medard	1.
Kopczyński Ignacy Dep. Kom. Szlach. Gubern. Kijow	2.
Kopczyński Wincenty Dep. Kom. Rachun. Gubern. Kijow	1.
Kozakiewicz Stanisław Kandydat obojga Praw	1.
Kozakowski Józef Podkom. Pttu Wilkom.	1.
Krański Teodor Chorąży Pttu Czehryn.	1.
Krauz Baron Michał D. W. G. L. Wileń.	1.
Kruszyński Hrabia Józef	1.
Kupść Adam	1.
Kupść Nikodem Assessor Sądu Głł. Wileń. Igo Depart.	1.

Kuszelewska Paulina Chor. Pttu Wiłkomir	2.
Kuszelewska Elżbieta	1.
Kurdzikowski Augustyn Sędzia Ziem. Pttu Upits.	1.
Kuryłowicz Józef Podkom. Pttu Skwir. i Machnow.	1.
Libelt Henryk	1.
Magnuszewska Bogumiła z Kontowtów	1.
Malewska Zofija	1.
Marcinkiewicz Stanisław b. Pisarz Grodz. Wileń.	1.
Małański Izidor	1.
Meleniewski Franciszek Sędzia Gran. Podol.	1.
Michałowski Juliusz Cezar Porucz. Wojsk Ros.	1.
Michałowski Łukasz Aptekarz Brusil.	1.
Miszkiel Jan Dok. Med.	1.
Mokrzycki Ignacy	1.
Montrymowicz Stanisław	1.
Moraczewski Teofil Podkom. Pttu Lidzkiego	1.
Nadolski Józef Rejent Gran. Grodzień.	1.
Niskowski Julian	1.
Odyniec Leon Sędzia Gran. Pttu Troc.	1.
Ogiński Xiąże Ireneusz	1.
Olencki Xawery	1.
Orwidowa Johanna Chorążyna Pttu Kowien.	1.
Ostromięcki Jan Rejent Sądu Gł. Gródzień.	1.
Padniewicz Michał	1.
Padniewicz Xawery	1.
Pawłowicz Wincenty Rotmistrz	1.
Petreżycki Józef	1.
Pietkiewicz Dominik	1.
Pietkiewiczówna Teofila	1.
Pietraszewski Faustyn Sędzia Grodz. Pttu Upits.	1.
Piller Jan Rejent Gran.	1.
Piotrowski Wincenty	1.
Piotuch Antoni b. Asses. Sądu Główn. Wileń.	1.
Plater Hrabia Franciszek Chorąży Pttu Rosień.	3.
Podbereska Anna z Rómerow	1.
Podhorski Jan Chor. Pttu Skwir.	1.

Politalski Ignacy Prezes Sądu Gran. Grodzień.	1.
Połujańska Antonina	1.
Połujańska Teofila	1.
Pomarnacki Julian	1.
Potocki Hrabia Karol Kamerjunker Dworu Ros. i Kaw.	1.
Protasowicz Jerzy Assessor Sądu Gł. Grodzień.	1.
Putkamer Wawrzyniec Hr. Porucz. Wojsk Pol.	1.
Raczkowski Apolinary Podkom. Pttu Upits.	1.
Raczkowski Józef b. Sędzia Pttu Szawel.	1.
De Raes Wilhelm b. Marsz. Pttu Troc.	1.
Radzki Jan	1.
Rakowski Felix	1.
Ratowt Adolf	1.
Rodowicz Ferdynand Sędzia Gran. Gubern.	1.
Rogalska Józefa	1.
Römer Edward	1.
Römer Józef b. Prez. Gran. Pttu Troc.	1.
Ropp Alexander Podkom. Pttu Upits.	1.
Rościszewski Szczęsny Marsz. Pttu Zwinogrodz.	1.
Rossochacki Marcin Sędzia Ziem. Pttu Troc.	1.
Rotariusz Piotr	1.
Rukowiczówna Hersylia	1.
Rypiński Kazimirz Kapitan Art. wojsk Ros.	1.
Sadowski Wincenty Porucz. b. Wojsk Pol.	1.
Sańkowski Wincenty	1.
Sarnecki Marek Marsz. Pttu Lipow.	1.
Siezieniewski Sowietnik i Kawaler	1.
Słowiński Jozef b. Porucz wojsk Ros.	1.
Słoniewski Ludwik Podśędek Pttu Machnow	1.
Staniewicz Ezechiel Marsz. Pttu Rosień.	1.
Strawiński Edward	1.
Szaboniewicz Stanisław b. Chor. Pttu Troc.	1.
Szczepanowski Antoni b. Kapitan Wojsk Ros.	1.
Szwojnicki Michał Sędzia Grodz. Pttu Upits.	1.
De Sztrunk Adam Assesor Sądu Gł. Wileń. I. Dep.	1.
Tański Felix b. Sędzia Gran. Pttu Troc.	1.

Titusowa Anna	1.
Trzemeski Stanisław Rejent Gran.	1.
Tyszkiewicz Hrabia Antoni	1.
Tyszkiewicz Hrabia Henryk Marsz. Guber. Kijow. i Kaw.	1.
Tyszkowski Sędzia Grodz. Pttu Zwinogradz.	1.
Uziembłówna Helena	1.
Wagotowicz Filip Adw. Sądu Ziem. Radom.	1.
Wasilewski Robert	1.
Ważyński Skarbek Antoni Marsz. Pttu Lidz.	1.
Wejss Krystyan	1.
Wejssenhoff Konstancya Marszałkówna Pttu Rze- rzye	1.
Wejssenhoff Franciszek b. Marszałek Pttu Wiłko.	1.
Wejssenhoff Jan Chorąży Pttu Wiłkom.	2.
Wereszczyński Anzelm	1.
Wilczyński Ludwik Sędzia Gran. Pttu Wiłkom	1.
Wiryon Jan Podkom. Grodzień. i Kawaler	1.
Wolański Wincenty Adw. Sądu Gł. Kijow.	1.
Wojtkiewicz Leopold	1.
Wołodźko Wincenty b. Major wojsk Ros.	1.
Wróblewska Tekla	1.
Zabiełło Eustachy Czł. Kom. Radz. i Kaw.	1.
Zaluski Hrabia Karol Marsz. Pttu Upits.	1.
Zapolski Jan Podkom. Pttu Tarasz. i Lipow.	1.
Zawadzki Józef Typograf.	25.
Zielonowicz Wincenty Sekretarz Sądu Niż. Szawel.	1.
Zienowiczowa Tekla Kap. b. Wojsk Pol.	1.
Żagiellówna Genowefa Marszałkówna Pttu Wiłk.	1.
Żarzycki Marcelli Pisarz Ziem. Pttu Kijow.	1.
Zołyński Andrzej Pisarz Ziem. Pttu Lipow.	1.
Zukowski Symon Chorąży Pttu Prużań.	1.
Życki Tomasz Radzca Stanu Prof. zasł. Uniw. Wil.	1.

Nieprzysłane dotąd imiona prenumeratorów będą

umieszczone na czele romansu z kolei następującego, p. t. *Pionierowie*.

W S T Ę P.

Jeżeli kto dla tego bierze w rękę tę książkę, że spodziewa się znaleźć w niej romantyczne i urojone obrazy rzeczy niebyłych, niech jej nie otwiera. — Jest ona tém tylko, co jej tytuł zapowiada: *powieścią historyczną*. Ponieważ jednak czytelnicy, a bardziej jeszcze czytelniczki niektóre, mogą zaraz napotkać wiele niezrozumiałych szczegółów i wziąć je za zmyślone, widzę potrzebę objaśnić przynajmniej część nowych dla ich ucha wyrazów.

Chcącego obeznać się z dziejami dzikich Indyan, najbardziej w kłopot wprawuje mieszanina ich nazwisk.

Zważywszy, że Holendrzy, Anglicy i Francuzi jako zdobywcy, pozwolili sobie wszelkiej wolności w nazywaniu zwyciężonych narodów, że te narody same, nie tylko różnym językiem i dialektem mówią, lecz nadto lubią pomnażać liczbę swych nazwisk, zawikłanie to każdy uzna za niezbędnę i łatwiej przebaczy autorowi, jeżeli co w jego dziele z tej przyczyny ciemnym się wyda.

Rozległą przestrzeń ziemi między Penobskotem i Potomakiem, Oceanem atlantyckim a Mississipi, Europejczycy znaleźli w posiadaniu narodów z jednego pochodzących szczepu. Może byź, że tę ogromną krainę w niektórych stronach rozszerzały lub ścieśniały sąsiednie ludy; takie atoli były jej przyrodzone i zwyczajne granice. Naród

w niej zamieszkały miał ogólne nazwisko Wapanaki; lecz z chlubą przezywał siebie *Lenni Lenape*, co znaczy „naród nie zmieszany.“ Autor wyznaje otwarcie, że jego wiadomości w tym względzie, nie są tak obfite, aby mógł wyliczyć wszystkie hordy czyli pokolenia, na jakie się lud ten dzielił. Każde pokolenie miało swoje nazwisko, swojego wodza, swój obręb tówów i nawet swój dyalekt. Pokolenia te, podobnie jak dawniej feudalne państwa, toczyły z sobą wojny i niekiedy panowały nad innemi; wszystkich jednak był tenże sam początek, tenże sam język i też same podania z dziwną odziedziczaną wiernością. Jedna gałąź ludu tego posiadała nadbrzeża pięknej rzeki znanej pod nazwiskiem „Lenapewituku.“ Tu za zgodą po-

wszechną był zbudowany „Dom Długi“ czyli „Ognisko Wielkiej Rady“ (*).

Pokolenie mieszkające niegdyś w tych okolicach, co teraz są południowo - zachodnią częścią Nowej Anglii i posiadłością Nowego Jorku na wschodzie zatoki hudsonskiej, równie jak w kraju bardziej ku południowi posunionym, było potężnym narodem, zwanym „Mohikanni“ czyli pospoliciej „Mohikanie“, skąd poszło zepsute przez Anglików nazwisko „Moheganów.“

Mohikanie dzielili się jeszcze na pokolenia, a te wszystkie razem wiodły spór o starożytność nazwiska ze swoimi sąsiadami mającymi Dom Długi. Zgodnie jednak uznawano ich za „najstarszych synów wspólnego przodka“

(*) Great council fire.

Ta to część pierwiastkowych właścicieli ziemi naprzód z posiadłości swoich od białych wyzuta została. Mała ich liczba teraz rozpierzchnięta wśród innych pokoleń, potężnej wielkości swojej smutne tylko dziedziczy pamiętki.

Pokolenie strzegące świętych ścian domu rady długi czas szczyliło się pochlebném imieniem „Lenapów“; ale kiedy Anglicy rzekę Lenapewituk „Delawarą“ przezwali, i mieszkańcy nieznacznie przybrali jej nazwisko. W powszechności jednak zachowują oni między temi wyrazami subtelną i ścisłą różnicę, a lekkie te odcienie częstokroć dobitnie tłumaczą ich myśli i wiele nadają mocy ich mowom.

Na wiele set mil wdłuż granic kraju Lenapów rozciągał się inny naród

takież podziały, tenże sam początek i język mający. Dzicy ci nie tak mocno jak Lenapy połączeni z sobą, mniej byli potężni od nich. Pięć ich najliczniejszych i najbardziej bitnych pokoleń, sąsiadujących najbliżej z nieprzyjawnymi panami domu rady, jednocząc się celem wspólnej obrony złożyło rzecz pospolitą najdawniejszą w historyi Ameryki północnej.

Pokolenia te były Mohawków, Onejdów, Senekasów, Kajugów i Onondagów. Później koczownicza horda Tuskarorów z tegoż pochodząca rodu lecz błakająca się w krajach bardziej południowych, przybywszy do nich otrzymała wspólność praw politycznych. Pokolenie to tak było mnogie że Anglicy odtąd dziką rzeszę już nie „Pięć” lecz „Sześć Narodami” nazywać

poczęli. Da się widzieć w ciągu samego opowiadania, że ten wyraz: naród, niekiedy jedno tylko pokolenie, niekiedy zaś cały lud oznacza. Podobnaż dowolność ma miejsce i w nazwiskach tych hord, pokoleń, czy narodów. Mengwów naprzykład sąsiedni Indyanie nazywają niekiedy Makwami, a niekiedy, wyśmiewając niby, dają im przyzwisko Mingów. Francuzi przekręciwszy zapewne któreś z podobnych imion, nazwali ich Irokanami.

Autentyczne podanie zachowało szczególności nie bardzo uczciwych kroków, jakich z jednej strony Holendrzy, a z drugiej Mengwowie użyli, żeby skłonić Lenapów do złożenia broni, do oddania się zupełnie pod opiekę swych sąsiadów, jedném słowem, jak dzicy w sposób przenośny mówią, do zosta-

nia *babami*. Polityka Holendrów w tej mierze nie wielce szlachetna, ale bezpieczna była. Odtąd naród z pomiędzy ludów zamieszkujących niegdyś terazniejsze Stany Zjednoczone, największy i najbardziej wykształcony, upadać zaczął. Szczątki jego wyganiane przez białych, ciemiężone i mordowane nawet przez dzikich, błakając się czas niejakiś koło swego domu rady, zebrały się nakoniec w hordy i poszły szukać schronienia w niezmiernych stepach ciągnących się na zachód. Sława jego nakształt dogorewającej pochodni nigdy nie jaśniała tak żywym blaskiem, jak w ostatniej chwili.

OSTATNI MOHIKAN.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

„Ucho moje otwarte, serce uzbrojone;
Mów—cóż mi masz powiedzieć? że wszystko stracone,
Ze z dóbr ziemskich, znikomych, wyzuty do zgonu
Jestem królem bez państwa, poddanych i tronu?”

Szekspir.

BYŁO to jedną z cech szczególnie oznaczających wojny prowadzone w osadach Ameryki północnej, iż chcąc odkryć nieprzyjaciela dla stoczenia z nim bitwy, trzeba było wprzód wystawić się na nędze i niebezpieczeństwa pustyni. Szerokie pasmo nieprzebytych na pozór lasów, dzieliło posiadłości nieprzyjaźnych sobie prowincyj francuzkich i angielskich. Równie zahartowani w trudach osadnik, jak wyćwiczony Eu-

ropejczyk bijąc się każdy ze swojej strony, trawili niekiedy całe miesiące na walce przeciw potokom lub na torowaniu drogi przez wąwozy w górach, nim znaleźli zręczność okazania bliższych dowodów męstwa. Lecz naśladowując w cierpliwości dzikich wojowników tych krain i ucząc się od nich znosić niewczasy, tak pokonywali wszystkie zawady, iż można było sądzić, że wkrótce puszcze nie będą miały kryjóWKi dość ciemnej, pustyni dość odległej na schronienie od tych, którzy rozlewali krew dla nasycenia zemsty, lub wspierania oziębłej i samolubnej polityki monarchów mieszkających w dalekiej Europie.

Na całej rozległej przestrzeni pogranicza, żadne podobno miejsce nie mogło przedstawić żywszego obrazu rozjuszenia i okrucieństwa dzikich wojen owej epoki, jak kraj między Hudsonem i przyległemi jeziorami położony.

Samo tu przyrodzenie tak widoczną łat-

wość przechodów nastęczało walczącym, że nie podobna było jej zaniechać. Podłużna płosa jeziora Szamplen ciągnąc się od brzegów Kanady, aż do granic prowincyi sąsiedniej Nowemu Jorkowi, tworzyła naturalne przejście w środku przestrzeni, którą Francuzi, żeby dosięgnąć swych nieprzyjaciół, koniecznie opanować musieli. W południowym końcu jezioro to przyjmowało od drugiego daninę wód tak przezroczystych, że misjonarze jezuickcy obrali je wyłącznie do spełniania oczyszczających chrztu obrządków i nazwali jeziorem Świętego Sakramentu. Mniej pobożni Anglicy sądzili, iż dosyć wyrządzą czci tym wodom, kiedy im nadadzą imię panującego podówczas nad nimi monarchy, drugiego z dynastyi hanowerskiej. Tym sposobem dwa narody spiknęły się na wydarcie dzikim właścicielom nadbrzeżnych lasów, prawa uwiecznienia dawnego nazwiska jeziora Horykanu.

Oblewając niezliczone wyspy, jezioro święte opasane górami ciągnęło się na mil dwanaście w południową stronę. Na wzniosłej płaszczyźnie, broniącej wtenczas od zbyteńnego wód rozlewu, zaczynał się gościniec przewozowy, prowadzący nad brzeg Hudsonu do miejsca, gdzie rzeka wyjąwszy wieczne zawady progów zaczynała być spławną.

Wtenczas kiedy niezmordowani Francuzi w przedsiębiorczym i zuchwałym zamiarze napadu, nawet przez dalekie i niezwydane wąwozy Allegany szukali przejścia, łatwo domyślić się można, że nie pominęli miejscowych korzyści dopiero opisanego kraju. Jakoż stał się on krwawemi szrankami większej części bitew staczanych w celu rozstrzygnięcia, kto miał nad osadami panować. Twierdze zbudowane w rozmaitych punktach najłatwiejszego przejścia wielekroć, podług dziwacznych rządzeń zwycięstwa lub okoliczności, brane i odbierane, burzone i odnawiane były.

Rolnik uciekając od tych miejsc niebezpiecznych, cofał się aż do środka najdawniejszych osad; a wojska liczniejsze od tych, które nieraz rozrządzały koroną w macierzystych krajach, zagłębiały się w tutejsze lasy, skąd nigdy nie wychodziły inaczej, jak wycięzione trudami, albo zrażone przegraną i podobne do cieniów występujących z grobowców.

Chociaż zatrudnień spokojnego przemysłu nie widziano w tych zakazanych stronach, lasy jednak były pełne ludzi. Po dolinach i trzebieżach (*) brzmiała muzyka wojenna, a echa gór powtarzały okrzyki walecznej i nierozważnej młodzieży, która dumna ze swojej żywości i siły, wdzierając się na ich wierzchołki, żeby wkrótce usnąć w długiej nocy zapomnienia.

Na tém to polu walk krwawych, zdarzenia, które tu opisać chcemy, zaszły w trze-

(*) A glade.

ciem roku ostatniej między Francją a Wielką Brytanią wojny o posiadanie kraju, szczęściem nie przeznaczonego, ani dla jednej, ani dla drugiej.

Niezdolność naczelników wojskowych i fatalna niestanność pewnej osoby w radzie wewnętrznej, strąciły Anglię z tej wysokości, na jaką wyniosł ją duch przedsiębiorczy i talent dawniejszych jej wojowników i rządców. Nieprzyjaciele już się jej nie lękali a stronnicy nagle tracili tę ufność zbawienną, co jest źródłem szacunku samego siebie. Niewinni tego stanu słabości, i chociaż tyle pogardzani, że nie mogli nawet być narzędziem błędów, osadnicy musieli jednak znosić udział dotkliwego poniżenia. Swieży w ich oczach wybór wojska przybyły z kraju, który czcząc jako pierwiastkową ojczyznę, uważali za niezwyciężony, wybór wojska pod dowództwem naczelnika dla rzadkich zdolności wojennych przeniesionego nad tłum doświadczonych

rycerzy, przez garstkę Indyan i Francuzów nie tylko do haniebnej ucieczki zmuszony został, ale ocalenie od zupełnej zagłady jedynie był obowiązany zimnej krwi i odwadze młodego Wirgińczyka, którego sławę, dojrzałą z czasem, prawda rozniosła w najodleglejsze końce chrześcijańskiego świata.

Niespodziana ta klęska otworzyła wielką przerwę w pograniczu, i nim nadeszły nieszczęścia rzeczywiste, oczekiwano tysiąca niebezpieczeństw urojonych. Przerażonym osadnikom zdawało się za każdym powiewem wiatru gwiżdżącego od zachodnich lasów, że słyszą wycia dzikich. Straszliwy charakter tych nieprzyjaciół okrutnych, niewymownie powiększał zwyczajną obawę wojny. Niezliczone przykłady świeżych rzezi, każdemu żywo jeszcze tkwiły w pamięci; a we wszystkich prowincjach nie było nikogo, ktoby z chciwością nie słuchał przerażających powieści o morderstwach popełnianych w pociemku, zwłaszcza gdy ich

głównymi sprawcami byli drapieżni mieszkańcy lasów.

Kiedy łatwowierny wędrowiec z zapaloną wyobraźnią, opowiadał niebezpieczne przypadki w pustyniach; lęklivym ludziom krew ścinała się w żyłach, a matki rzucały niespokojne spojrzenia na dzieci uśpione wśród pewności miast największych. Jędném słowem trwoga powiększająca przedmioty zaczęła brać górę nad męztwem i rachubami rozsądku. Najśmielsze serca nawet zaczęły powątpiewać o wypadku wojny, a codzien powiększała się liczba tej nikczemnej zgrai, która już sądziła, że wszystkie posiadłości korony angielskiej, albo są w ręku jej nieprzyjaciół chrześcijańskich, albo pustoszone od ich sprzymierzeńców dzikich.

Skoro więc w twierdzy położonej przy końcu gościńca wiodącego od Hudsonu do jezior, posłyszano, że Montkalm z wojskiem liczniejszém niż liście lasów posuwa się w górę jeziora Szamplen, nikt nie wątpił

o prawdziwości tej nowiny, i przyjęto ją raczej z nikczemną trwogą ludzi oddanych zatrudnieniom spokojnym, niżeli z cichą radością jakiej doświadcza wojownik, kiedy mu powiedzą, że nieprzyjaciel zbliża się na wystrzał broni.

Wiadomość tę przyniósł pod wieczor dnia letniego, goniec indyjski od Munra naczelnika twierdzy nad jeziorem świętem położonej, przysłany z prośbą o znaczny i jak najrychlejszy posiłek. Droga czyli raczej ścieżka łącząca dwa te stanowiska ledwo na pięć mil (*) odległe od siebie, przerobiona była na wygodny gościniec; a za tem, kiedy ją teraz wychowaniec lasów we dwie godziny przebiegł, oddział wojska z obozem i ciężarami mógł przebyć latem od zachodu do wschodu słońca.

Wierni poddani korony angielskiej le-

(*) Mile angielskie mało co większe od wiorst rosyjskich.

snym tym warowniom nadali imiona książąt panującego domu: jednej William - Henryka, a drugiej Edwarda. Dopiero wspomniony weteran szkocki trzymał straż w pierwszej z półkiem wojsk regularnych i oddziałem prowincjonalnych. Garstka ta była zbyt słaba przeciw ogromnej sile, jaką Montkalm pod te ziemne okopy prowadził; ale dowódzca drugiej twierdzy jenerał Web, miał pod swemi rozkazami wojska królewskie prowincyj północnych, i pięć tysięcy załogi. Tak więc łącząc podwładne sobie oddziały mógł prawie dwa razy większą liczbę stawić przeciw śmiałemu Francuzowi, który zapędzając się zuchwale zostawił wsparcie daleko za sobą.

Lecz równie oficerowie jak żołnierze przejęci uczuciem swego poniżenia, woleli raczej w murach czekać na nieprzyjaciół, niżeli pójść wstrzymywać ich zapęd; chociaż Francuzi pod twierdzą Diukiesną, u-

derzając na przednią straż angielską, dali im przykład uwieńczonej odwagi.

Zaledwo ochłonięto z pierwszego podziwienia jakie nowina ta sprawiła, po całej linii wojska zamkniętego w okopach nad Hudsonem dla bronienia twierdzy zewnątrz, rozeszła się wieść, że tysiąc pięć set ludzi ma ruszyć o świtaniu do warowni William Henryk, leżącej na północnym końcu gościńca. Pogłoska stała się wkrótce pewnością, gdyż nadszedł rozkaz z głównej kwatery, żeby oddział przeznaczony na tę wyprawę, co najrychlej przygotował się do pochodu.

Nie było już zatem żadnej wątpliwości o postanowieniu Weba, i przez parę godzin widziano same tylko niespokojne twarze żołnierzy, śpiesznie dążących tu i ówdzie. Nowozaciężni rzucając się z kąta w kąt, bardziej jeszcze mitrężyli sobie wybór w drogę przez zbyteczny pośpiech, połączony równie z niechęcią jak zapałem. Starzy

żołnierze, nauczeni doświadczeniem, wybierali się z krwią zimną i bez najmniejszego pozoru nagłości; ale chociaż udawali spokojność, jednak z posępnych spojrzeń łatwo było poznać, że niewielką mieli ochotę do tej straszliwej wojny lesnej, co dla nich początkową jeszcze była nauką.

Słońce wśród potoków blasku skryło się za góry leżące daleko w zachodniej stronie, i kiedy ciemność osłoniła ziemię, ruch przygotowań do drogi w tym miejscu samotnem powoli ustawać zaczął. Nakoniec i ostatnie światełka pogasły pod namiotami niektórych oficerów, drzewa rzuciły czarniejsze cienie na warownię i rzekę; w całym obozie zaległa równie głęboka cisza jak ta, co panowała nad ogromną puszczą.

Podług rozkazu wydanego z wieczora, skoro pierwszy blask zorzy zaczął odznaczać czarne postaci kilku jodeł stojących niedaleko i czyste niebo bez żadnego obłoczka odsłoniło się na wschodzie, łoskot bębnow

przez echa w rannem powtórzony powietrzu i ze wszech stron odbity o lasy, przerwał sen wojska. W mgnieniu oka poruszył się obóz co do jednego żołnierza: każdy chciał przeprowadzić swoich towarzyszków, bydź świadkiem ich odejścia i używać chwili zapału.

Przeznaczony oddział wkrótce stanął w porządku do pochodu. Regularni i płatni żołnierze koronni dumnie zajęli stronę prawą, a nawykli ulegać osadnicy pokornie uszykowali się po lewej. Czaty wyruszyły naprzód, mocna straż otoczyła ciężkie wozy i równo ze dniem główna kolumna udała się w drogę z owym pozorem dumy wojskowej, co nie w jednym nowicyuszu pierwszy raz idącym do boju przytłumiało trwożę. Póki tylko towarzysze mogli ich widzieć, każdy zachowywał jednostajną szykowność i postawę. Nakoniec głos piszczałek zaczął cichnąć powoli i cała ta żyjąca masa znikła z oczu, jak gdyby las ją pochłoniął.

Już wietrzyk nie donosił tententu stą-

pania żołnierzy oddalających się niewidzialnie do ucha ich towarzyszy pozostałych w obozie, już ostatni z opóźnionych skrył się pomiędzy drzewami, a jeszcze przed chatą niepospolitej wielkości, u drzwi której przechodziły się straże zwykle czuwające nad bezpieczeństwem osoby jenerała angielskiego, widać było przygotowania do wyjazdu. Na dziedzińcu stało sześć koni osiodłanych w ten sposób, iż dwa z nich przynajmniej zdawały się być przeznaczone dla dam znakomitych, rzadko widywanych tak daleko w głębi pustyń tamecznych. Trzeci miał czaprak z herbami oficera sztabu. Proste rzędy i tłomoki na innych były znakiem, że miały nieść sługi czekające już rozkazu swych panów. Kilka gromad żołnierzy i próżniaków zebrało się na to rzadkie widowisko; pierwsi wychwalali śliczny skład i dzielność oficera konia, drudzy gawronili na wszystko z ciekawością głupowatą. Był wszakże między nimi czło-

wiek, którego wyraz twarzy i ułożenie jawnie wyłączały z obu klas tych widzów.

Jakkolwiek powierzchowność jego była śmieszna, nie miał jednak żadnej ułomności szczególnej. Stojąc, wzrostem przewyższał otaczających; siedząc, wydawał się mniejszy od człowieka miernej postawy. Wszystkie jego członki dziwnie nie stosowały się do ogółu. Głowa była wielka, plecy wąskie, ramiona długie, ręce małe i można powiedzieć delikatne, uda i łytki cienkie, lecz nogi niezmiernie długie, kolana ogromne, a stopy utrzymujące osobliwszą tę całość nad podziw szerokie i niezgrabne.

Zle dobrany ubiór bardziej jeszcze wydawał na jaw niekształtność jego ciała. Miał frak niebieski z wąziutkim kołnierzem a szerokimi i krótkimi połami; opięte spodnie z żółtego nankinu związane pod kolanami na kokardki białych, zbrukanych wstążek; pończochy bawełniczne w paski, i przy jednym trzewiku ostrogę. Nic z tego

nie starał się ukrywać, owszem zdawało się, że bądź przez prostotę, bądź przez próżność, myślał nad tem, jakby wszystkie swoje piękności na widok wystawić. Z obszernej kieszeni długiej kamzelki jedwabnej oszytej szerokim galonem srebrnym, ale wytartej już porządnie, wyglądał instrument, który w towarzystwie tak wojenném mógłby kto wziąć za jakiś niebezpieczny i nieznaný oręż. Małe to narzędzie ściągało ciekawość Europejczyków znajdujących się w obozie, ale osadnicy niemal wszyscy bez obawy i nawet dosyć zręcznie umieli go używać. Ogromny kapelusz tego kształtu jaki przed trzydziestu laty u duchownych był w modzie, nadawał pewną powagę jego łagodnej, lecz nie nader wielkie rozgarnienie oblecującej twarzy, i rzecz widoczna była, że właściciel potrzebował tej jego pomocy do utrzymania godności podczas odbywania jakichś szczególniejszych obowiązków swoich.

Kiedy żołnierze przez poszanowanie dla świętego obwodu głównej kwatery stali zdaleka od miejsca, gdzie widziano przygotowania do podróży, opisany dopiero człowiek poufale zbliżył się do służących i bez ogródek zaczął dawać swoje zdanie o koniach.

— Mnie się zdaje, przyjacielu, — odezwał się głosem równie dziwnym dla słodczy dźwięku, jak sam był dla niekształtności ciała, — że ten koń nie jest krajowy i zapewne sprowadzony ze stron dalekich, może z małej wyspy zamorskiej. Nie chlubiąc się mogę mówić o podobnych rzeczach, byłem bowiem w dwóch portach: w jednym co leży przy ujściu Tamizy i bierze nazwisko od stolicy starej Anglii; w drugim tak nazwanym Niuhawen. Widziałem tam mnóstwo zwierząt czworonożnych, które kapitanowie brygów i okrętów, jak do Arki Noego, ładowali do swoich statków na przejazd do Jamaiki, ale nigdy nie zdarzyło mi

się widzieć zwierzęcia tak podobnego do wojennego konia opisanego w Pismie Świętym: — „Bije ziemię kopytem, weseli się ze swej siły i leci przeciw zastępom zbrojnym. Zdaleka wietrzy wojnę, rży na odgłos trąby, grom wodzów i okrzyk tryumfu“ — Można by powiedzieć, że rassa koni Izraela zachowała się aż do naszych czasów. Nieprawdaż przyjacielu?

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi na tę przemowę osobliwszą; chociaż przynajmniej głos jego mocny i łagodny razem powinien był ściągnąć jakąkolwiek uwagę, cytator Pisma Świętego oderwał wzrok od konia i przeniósł na figurę milczącą, do której przypadkiem zwrócił był pytanie, i znalazł nowy powód zadziwienia w osobie stojącej przed nim. Oczy jego padły na prostą, wyprężoną postać gońca indyjskiego, co wczoraj niepomyślną nowinę przyniósł do obozu. Chociaż twarz jego oznaczała spokojność zupełną; chociaż przypatrując się

hucznej i ożywionej scenie miał pozor otry-
twałości stoickiej; mimo tę obojętność wszak-
że, można było w nim dojrzeć wyraz har-
dości ponurej, godny oczu człowieka prze-
nikliwszego niż ten, co go oglądał teraz z
rozdziawioną gębą. Mieszkaniec lasów miał
wprawdzie tomahawk (*) i nóż swego po-
kolenia; ale z powierzchowności nie wy-
glądał na wojownika. Widać było w nim
zaniedbanie i ociężałość, będące skutkiem
długiego utrudzenia i potrzeby wypoczyn-
ku. Farby jakimi dzicy gotując się na woj-
nę malują swoje ciało, zlane i pomieszane
na jego srogiej twarzy, czyniły ją bardziej
jeszcze odrażającą. Oczy tylko niepozba-
wione bynajmniej swej żywości dzikiej, błysz-
czały mu we łbie jak gwiazdy wśród chmu-
ry. Jego wzrok przenikliwy lecz ostróżny;
spotkał na chwilę spojrzenie Europejczyka

(*) Maczuga.

i bądź przez chyłtrość, bądź przez pogardę zwrócił się w inną stronę.

Trudno zgadnąć coby po tej niemej rozmowie powiedział wysoki Europejczyk, gdyby czynna ciekawość nie zwróciła jego uwagi do innego przedmiotu. Ruch między sługami i kilka przyjemnych głosów oznajmiły przybycie osób mających jechać w drogę. Wielbiciel oficierskiego konia cofnął się kilka kroków na miejsce, gdzie mała, wychudła klacz spasała resztki powiędłej trawy, i kiedy zrzedzę spokojnie przy matce kończyło śniadanie, oparty łokciem na wojułoku zastępującym siodło, przypatrywał się podróżnym.

Młodzieniec w mundurze wojsk królewskich, przyprowadził do koni dwie damy ubrane jak do podróży przez lasy. Młodsza z nich, chociaż obie były w lat poranku, odrzuciwszy zieloną zastonę spadającą z bobrowego kapelusza, pozwoliła widzieć swoją płeć delikatną, światłe włosy i cie-

mno błękitne oczy. Tło widokręgu po nadwierzchołkami sosen czerwieniejące jeszcze na wschodzie, nie było ani tak lekkie, ani tak żywe, jak rumieniec jej policzków; a pogodny dnia ranek nie miał tyle powabu co jej wesóły uśmiech do młodego oficera, kiedy ten pomagał jej dosiąść konia. Druga odbierając równą grzeczność od zalotnego żołnierza, ukrywała swe wdzięki z ostrożnością, jaką zwykle dłuższe doświadczenie doradza; tylko kształt wspaniały jej postaci, w podróżnym ubiorze okazywał się wyraźnie, i można było widzieć że więcej od swej towarzyszki miała dojrzałości i ciała.

Gdy już umieścili się na siodłach, młody oficer lekko dosiadł swojego rumaka i wszystko troje ukłonili się Webowi, przez grzeczność stojącemu we drzwiach aż póki nie odjechali. Puściwszy potem konie kłusem, razem ze sługami udali się ku północnemu wyjściu z obozu.

Obie damy jechały w milczeniu; młodsza

tylko krzyknęła z przestachu kiedy goniec indyjski chcąc im przodkować gościńcem, przemknął mimo niej niespodzianie. Nagłe to ukazanie się Indyanina inne sprawiło wrażenie na starszej: w pierwszym wzruszeniu pozwoliła ulecieć zastonie i można było widzieć, że kiedy czarne jej oczy śledziły każdy krok dzikiego, twarz tymczasem wyrażała litość, zadziwienie i wstępek razem. Miała włos czarny i połyskujący się jak pióra krucze, płeć nieco sniadą, ale bardzo świeżą i gładką; wszystkie rysy doskonale kształtne i pełne godności. Lekki jej uśmiech politowania, niby nad własną słabością chwilową, odsłonił drobne i bielutkie zęby. Spuściła wreszcie znowu zastonę, i z głową w dół schyloną jechała w milczeniu, jakby myśli jej wcale czém inném, nie tém co ją otaczało zajęte były.

ROZDZIAŁ II.

.... sama jedna! Cóż to! sama jedna?

Szekspir.

KIEDY tak jedna z dwóch młodych towarzyszek podróży, oddawała się dumaniu; druga prędko zapomniawszy o przestachu i sama śmiejąc się ze swojego wykrzyknienia, zapytała oficera:

— Czy to często, Hejwardzie, takie poczwary pokazują się w lasach; albo może to rzadkie widmo dla naszej rozrywki wywołano umyślnie? Jeśli tak, wdzięczność zamyka nam usta; ale jeśli inaczej, i ja i Kora wprzód nim spotkamy straszliwego Montkalma, nie raz będziemy musiały zdobywać się na odwagę; chociaż pochlebiamy

sobie, żeśmy ją odziedziczyły po przodkach naszych.

— Indyanin ten jest gońcem wojsk naszych, a swojego narodu, można powiedzieć, bohaterem, odpowiedział młodzieniec. Podjął się wyprowadzić nas prosto nad jezioro, ścieżką mało uczęszczaną i krótszą, a zatem przyjemniejszą od gościńca, którym musielibyśmy jechać za oddziałem wojska ciągnącym się powoli.

— Mam jakiś wstręt do tego człowieka, — mówiła dalej młoda piękność z miną udanej niby, lecz w istocie prawdziwej obawy. — Zapewne nie znając go dobrze, nie powierzyłbyś się jemu, Dunkanie ?

— Powiedz raczej, że niepowierzyłbym was, Alino, odpowiedział Hejward z żywością. Tak jest, znam jego: gdybym nie znał, nie zaufałbym jemu, mianowicie w tym razie. Jest on podobno Kanadyjczyk rodem, służył jednak razem z naszymi przyjaciółmi Mohawkami, którzy, jak wiadomo,

należą do liczby sześciu sprzymierzonych narodów. Powiadają, że dziwne zdarzenie sprowadziło go do nas i jakoby nasz półkownik był w tę awanturę zamieszany, a potem obszedł się z nim trochę surowo; ale dawne to rzeczy; nie pamiętam dobrze, dość że teraz jest przychylny dla nas.

— Jeżeli kiedykolwiek był nieprzychylny dla mojego ojca, tém słuszniej czuję wstręt do niego. Pomów z nim majorze, żebym mogła jego głos usłyszeć. Może to śmiesznie; ale wiesz już o tém, że wierzę trochę wróżbom, jakie z głosu ludzkiego powziąć można.

— Nic z tego nie będzie, rzecze major, pewno odpowie nam tylko wykrzyknieniem jakim. Choć może, mówi po angielsku; ale jak większa część dzikich, udaje że nierozumie nawet, a tém bardziej nie raczy przemówić tym językiem teraz, kiedy wojna każe mu zachowywać całą jego powagę. Ale



się zatrzymał; pewno ścieżka, którą jechać mamy, jest tu gdzieś niedaleko.

W samej rzeczy tak było jak się Hejward domyślał. Kiedy się podróżni zbliżyli do lasu ciągnącego się po za gościńcem, Indyanin ręką wskazał im ścieżkę idącą w głąb puszczy, i tak wąską, że dwie osoby nie mogły jechać obok.

— Otoż i nasza droga, — rzecze major ścicha — Nie trzeba okazywać najmniejszej nieufności, bo przez to niebezpieczeństwa urojone mogłyby się na rzeczywiste zamienić.

— Jak myślisz, Koro? zapytała Alina przejęta trwogą: chociaż może przykro, ale czy nie byłoby bezpieczniej jechać za wojskiem?

— Nie znając zwyczaju dzikich, odezwał się Hejward, nie wiesz, Alino, gdzie większe niebezpieczeństwo czeka. Jeżeli nieprzyjaciel stanął na końcu gościńca, o czem wątpię, ponieważ wysłane zwiady nic podobnego nie doniosły, oni rozciągną się po bokach,

żeby napadać opóźnionych lub zbłąkanych. Droga wojenna wiadoma, a o naszej nikt wiedzieć nie może, bo ledwo przed godziną ułożyliśmy kędy jechać mamy.

— Czyliż należy niedowierzać temu człowiekowi dla tego, że w zwyczajach różni się od nas i nie białą ma skórę? zimno zapytała Kora.

Alina nie wahając się dłużej, zacięła pejcem konia i pierwsza udała się za przewodnikiem, wąską i ciemną ścieżką, gdzie co krok rozłożyste krzaki stawały na zawadzie. Młodzieniec z otwartem uwielbieniem spojrział na Korę, i przepuściwszy młodszą, lecz nie przeto piękniejszą towarzyszkę, rozchyłał gałęzie żeby starsza wygodniej przejechać mogła.

Słudzy, zapewne podług rozkazu danego im wcześniej, odłączyli się od panów i pojechali prosto gościńcem wojennym.

— Ostróżność tę, rzecze Hejward, doradził nam roztropny nasz przewodnik, żeby

jak najmniej śladów było w lesie, na przypadek jeżeli który z Kanadyjczyków dzikich posunie się tak daleko przed wojskiem.

Z początku ścieżka była tak zawikłana, że podróżni nie mieli czasu rozmawiać; ale przejechawszy brzeg lasu znaleźli się pod sklepieniem drzew ogromnych i rozłożystych gdzie promienie słońca przeniknąć nie mogły; lecz droga wygodniejsza była. Skoro przewodnik postrzegł że już konie swobodnie iść mogły, puścił się krokiem pośrednim między chodem a biegiem, tak że wierzchowce ciągle kłusować musiały.

Młody oficer, chcąc natenczas przemówić do czarnookiej towarzyszki swojej, odwrócił głowę, i wtém posłyszawszy oddalony tentent kopyt końskich, nagle ściągnął cugle swojego konia. Obie damy zatrzymały się także, i wszyscy natężyli słuch chcąc zbadać przyczynę tak niespodzianego wypadku.

W kilka chwil ukazało się zrzebie jak daniel migające między sosnami, a prawie

tuż za niem dziwny człowiek opisany w poprzednim rozdziale, pędził na swojej chudej klaczy ile tylko mógł ją skłonić do pośpiechu, bez narażenia się na wyraźne odmówienie. Podróżni nasi, w krótkim przedziale od kwatery Weba do wyjścia z obozu, nie mieli zręczności postrzedz szczególniejszej osoby zbliżającej się teraz do nich. Lecz jeżeli ten człowiek stojąc, mógł wysokością swoją zająć oczy niespodzianie nań zwrócone, nie mniej też, siedząc na koniu, dziwił zgrabnym ułożeniem kolosalnej swej postawy.

Chociaż bez ustanku kłół ostrogą żebra swojej klaczy, tyle tylko zdołał wymódcz na niej, że tylne nogi dźwigała ruchem czwałowym, kiedy przednie nie długo zgadzając się z niemi, powracały znowu do kłusu i często złym przykładem gorszyły swe siostry. Nagły ten przeskok z jednego do drugiego biegu sprawiał takie złudzenie wzroku, że major doskonale znajdujący się na ko-

niach, nie mógł odgadnąć z razu jakie to zwierzę tak niemiłosiernie nagłone zbliżało się ku niemu.

Ruchy przemyślnego jeźdźca nie mniej były dziwaczne. Za każdym dźwignieniem się szkapy, w całej wysokości powstając na strzemionach, lub skurczony opadając, na siodło, przez to prostowanie i schyłanie długich nóg swoich, tak powiększał lub zmniejszał swą postawę, iż trudno było poznać jego wzrost prawdziwy. Jeżeli dodamy jeszcze, że skutkiem ciągłego działania jednej tylko ostrogi, jeden bok klaczy zdawał się biedz prędzej niż drugi, a ogon ciągle zamiatał krzywdzone żebra, będziemy mieli obraz zupełny i jeźdźca i rumaka.

Nachmurzone brwi i męzkie czoło Hejwarda wypogodziły się zaraz, skoro wyraźniej postrzegł oryginalną tę figurę; a kiedy nieznajomy już o kilka kroków tylko był od niego, mimowolny uśmiech wymknął się mu na usta. Alina bez wszelkie-

go względu rozśmiała się głośno; nawet w czarnych i posępnych oczach Kory jaśniała wrodzona jej lecz przytłumiona wesołość.

— Czy szukasz tu kogo? — zapytał Hejward nieznajomego, kiedy ten zbliżywszy się zaczął wstrzymywać rozpędzoną klacz swoją. — Spodziewam się że nie przynosisz złej nowiny.

— Tak jest zapewne, — odpowiedział zapytany, trójkątnym kapeluszem swoim nawiewając jak wachlarzem ciche powietrze lasów i trzymając słuchaczów w niepewności, na które pytanie majora służyła ta odpowiedź.

— Tak jest, zapewne, szukam, — dodał potem ochłodziwszy twarz nieco i wytchnąwszy z zadyszania. — Dowiedziałem się, że Państwo jedziecie do Wiliam-Henryka, a ponieważ i ja tam jadę, chciałem więc pomnożeniem towarzystwa zrobić przyjemność równie dla Państwa jak dla siebie.

— Niesprawiedliwie w tym razie stanowić przez równość głosów. Nas jest trzy osoby, a W Pan masz tylko radzić się samego siebie.

— Niesprawiedliwiej też byłoby pozwolić jednemu mężczyźnie, obarczać się staraniem koło dwóch kobiet młodych, — odparł nieznamy tonem pośrednim między prostotą a żartobliwością gminną. — Ale jeżeli ten mężczyzna jest prawdziwym mężczyzną, a te kobiety prawdziwymi kobietami, pewno obie, chcąc uczynić jedna na przekór drugiej, przyjmą zdanie swojego towarzysza, a zatem i Pan nie więcej jak ja masz się z kim naradzać.

Ładna Alina schyliła się prawie aż do trzaski swojego konia żeby ukryć nowy wybuch wesołej pustoty, lecz kiedy podniosła głowę ujrzała, że z twarzy pięknej jej towarzyszki zniknął chwilowy rumieniec, zapłonęła się mocniej i, niby już znudzona tą rozmową, ruszyła na przód.

— Jeżeli, mój Panie, masz zamiar dostać się nad jezioro, rzecze Hejward nieco dumnie, nie tędy jechać trzeba było: drogę prawie o pół mili zostawiłeś za sobą.

— Wiem, odpowiedział nieznajomy, bynajmniej niezrażając się tak zimnym przyjęciem. Bawiłem cały tydzień w twierdzy Edwarda i chyba trzeba było być niemym, żeby się nie rozpytać drogi, a gdybym był niemy to i po mojem powołaniu. Zakończywszy te słowa szczególniejszą miną, jakby tym sposobem nieznacznie chciał wyrazić zadowolenie z dowcipnego ucinku, który dla słuchaczów wcale był niezrozumiały; dodał poważnie: — Moje powołanie nie pozwala mi nadto pospolitować się z tymi, których ohowięzałem się uczyć, i właśnie dla tego nie chciałem towarzyszyć oddziałowi wojska. Zresztą, spodziewając się że człowiek tak wysokiego stopnia jak Pan dobrodziej, najlepiej może znać drogi, postanow-

wiełem jechać z nim razem i przyjacielską rozmową uprzyjemniać podróż.

— Postanowienie WPana zbyt samowolne i trochę za prędkie, rzecze major sam niewiedząc czy się miał śmiać, czy gniewać. Ale mówisz o uczeniu, o powołaniu; czy nie jesteś w półku prowincjonalnym, nauczycielem honorowej napaści i obrony? albo jednym z tych co kreślą linije i kąty dla tłumaczenia tajemnic matematycznych.

Zapytany spojrział na pytającego z widocznem zadziwieniem, i zmieniwszy wyraz zadowolenia z samego siebie, na minę uroczystej pokory, odpowiedział:

— Spodziewam się że nie obraziłem nikogo, a nie popełniwszy żadnego grzechu ciężkiego, od czasu jak ostatni raz błagałem Boga, żeby mi odpuścił winy, nie mam się bronić przeciw komu. Nierozumiem co Pan chciałeś powiedzieć względem linij i kątów, a co się tycze tłumaczenia tajemnic, zostawuję to ludziom świętym powołanym

do tego. Nie przywłaszczam sobie innych zasług, jak tylko cokolwiek umiejętności w zanoszeniu do Nieba przez psalmy pokornych próśb i modlitw gorących.

— Jest to widocznie uczeń Apollina, odezwała się młodsza piękność, ochłonięta już z pomieszanja. Biorę go wyłącznie pod moją opiekę. Nie marszcz brwi Hejwardzie i, przez grzeczność dla ciekawych moich uszu, pozwól mu jechać z nami. Prócz tego, dodała z cicha i rzucając spojrzenie na Korę, jadącą powoli za ponurym przewodnikiem, w przypadku będziemy mieli jedynym przyjacielem więcej.

— Czy sądzisz, Alino, że najdroższe dla mnie osoby poprowadziłbym drogą, gdzie choćby najmniejsze niebezpieczeństwo zagrażać mogło?

— Ja nie do tego mówię, Hejwardzie; ale ten człowiek mię bawi, i ponieważ ma duszę muzyczną nie pozbywajmy się jego. To mówiąc rzuciła na majora spojrzenie

blągające i pejczem wskazała mu żeby jechał na przód. Oczy ich spotkały się nawzajem; major chcąc przedłużyć tę chwilę wstrzymał nieco swojego konia; lecz gdy Alina spuściła w dół zrzenice, ustępując naleganiom czarodziejki, znowu użył ostrogi i wkrótce stanął obok Kory.

— Bardzo jestem rada z naszego spotkania, przyjacielu, rzecze Alina do nieznanego dając mu znak żeby jechał za nią i puszczając konia klusem. Rodzice moi, może bydz przez zbyteczne pobłażanie, wmówili mi że wcale nie źle mogę występować wduecie; cóżby więc szkodziło, gdybyśmy teraz dogadzając naszemu upodobaniu zrobili rozrywkę w drodze. Mało uczona, wielką odniosłabym korzyść z przestróg biegłego nauczyciela.

— I owszem; śpiewanie psalmów równie orzeźwia ciało jak duszę, odpowiedział psalmista bez dalszych próśb zbliżając się do niej. Żadne zajęcie się tak nie rozwesela;

ale do wydania melodyi zupełnej, potrzeba czterech głosów. Pani, jak miarkuję po wszystkim, masz dyszkant przyjemny i mocny; ja, dzięki szczególnej łasce Nieba, mogę brać tenorem do najwyższej uóty, lecz nie staję nam altu i basu. Ten oficer Króla Jegomości, co tak długo wahał się czy mnie przyjąć do swojego towarzystwa, miarkując po tonie jego mówienia, ma pierwszy z dwóch potrzebnych nam głosów.

— Poczekaj, nie sądź tak lekko i prędko; pozory często nas mylą, rzecze Alina z uśmiechem. Chociaż major Hejward odzywa się czasami altem; ja ręczę jednak że zwyczajny głos jego bardziej się do tenoru zbliża.

— To więc on biegły w śpiewaniu psalmów? w duchu prostoty zapytał jej towarzysz.

Alina tylko co nie parsknęła ze śmiechu, potrafiła jednak utaić wszelką do tego skłonność i odpowiedziała poważnie.

— Mnie się zdaje, czy nie ma on tylko więcej ochoty do piosnek świeckich. Rozrywki i zatrudnienia żołnierskiego życia nie bardzo mogły go zbudować.

— Głos, podobnie jak inne władze, dany jest człowiekowi żeby go używał, nie zaś żeby nadużywał, rzecze psalmista. Co do mnie, nikt mi nie zarzuci żem zmarnował dar jaki mi Niebo dało. Młodość moja, podobnie jak Króla Dawida, całkiem była poświęcona muzyce świętej, i, dzięki Bogu, ani jedno słowo piosnki światowej nie skałało ust moich.

— Niczego zatem nieuczyłeś się prócz muzyki świętej?

— Nie inaczej. Równie jak żadna mowa nie ma piękności wznioślejszych nad psalmy Dawida, tak śpiew do nich zastosowany jest wyższy nad wszelką muzykę światową. Jestem przytem tyle szczęśliwy, że mogę powiedzieć, iż usta moje powtarzają myśli i prośby samego króla Izraelskiego; bo cho-

ciaż czas i okoliczności wymagają niektórych odmian małych, to tłumaczenie jednak, jakiego trzymamy się w osadach Nowej Anglii, wiernością, bogactwem i prostotą duchowną, tyle przewyższa wszystkie inne, ile bardziej od nich zbliża się do wielkiego dzieła natchnionego autora. Gdziekolwiek idę, gdziekolwiek mieszkam, kładąc się i wstając, zawsze tę boską książkę mam przy sobie. Oto jest ona: Wydanie dwudzieste, w Bostonie, *anno Domini* 1744, pod tytułem: *Psalmy, hymny i pieśni pobożne staro i nowego Testamentu, wierszem angielskim dostównie przetłózone, tak dla publicznego jak prywatnego użytku, zbudowania i pocieszenia wiernych, mianowicie w Nowej Anglii.*

Wychwalając w ten sposób plód poetów krajowych, psalmista wyjął z kieszeni swą boską książkę i, osadziwszy na nosie okulary w żelazo oprawne, otworzył ją z uroczystym poszanowaniem. Potem bez dalszych ogró-

dek i wstępów zawoławszy głośno: — Słuchajcie! — przyłożył do ust instrument opisany już przez nas, wydał na nim ton bardzo wysoki i ostry, a spuściwszy oktawą niżej głos swój przyjemny, donośny i czysty, pomimo poezją, kompozycją i nawet trzęski bieg swojej nędznej klaczy, na też samę nótę zaśpiewał wybornie co następuje:

„O jak miło widzieć między bracią memi,
Święte przymierze zgody;
Jest to wonia strumieniem płynąca dla ziemi,
Z Aaronowej brody.“

Prześpiewując zgrabne te wierszyki używał jestów tak właściwie dobranych, że trudno byłoby go naśladować bez długiego ćwiczenia się w tej sztuce. Kiedy głos jego podwyższał się stopniami, i ręka prawa wznosiła się do góry; kiedy się zniżał, i ręka spadała za każdym taktem, aż póki palce nie dotknęły się kart świętych. Ręczne to wtórowanie samemu sobie, zapewne skutkiem długiego nałogu, było mu nie-

zbędne, bo wypełniał je ściśle w ciągu całej sztropy, a najdobitniej przy końcowych dwóch zgłoskach ostatniego wiersza.

Tak nagłe przerwanie cichości lasów, koniecznie musiało uderzyć dalszych towarzyszy podróży, jadących o kilkanaście kroków pierwej. Indyanin przemówił coś złą angielszczyzną do Hejwarda, i ten, zwróciwszy konia ku nieznanemu, przeszkodził mu popisywać się dłużej z talentem śpiewania psalmów.

— Chociaż nie spodziewamy się żadnego niebezpieczeństwa, rzecze major, ostrożność jednak radzi nam przejeżdżać las jak najciszej. Darujesz mi zatem, Alino, że ujmę ci rozrywki prosząc twojego towarzysza, aby na czas dogodniejszy zachował swoje śpiewy.

— Prawda że mi ujmiesz rozrywki, odpowiedziała Alina z uśmiechem figlarnym; bo nigdy nie słyszałam słów tak mało stosownych do śpiewu, i właśnie byłam zajęta uczoneńm zgłębianiem, coby to takiego mo-

gło połączyć wyborną muzykę z poezją niedołączną, kiedy mi swoim altem przerwałeś myśli.

— Nie wiem co przez mój alt rozumiesz, Alino; odpowiedział Hejward widocznie dotknięty tą uwagą; ale to wiem tylko, że bezpieczeństwo twoje i Kory, daleko więcej obchodzi mię teraz, niż cała muzyka Handela.

Major zamilkł nagle i prędko obróciwszy się twarzą do krzaku szeroko rosnącego przy ścieszce, rzucił podejrzliwe spojrzenie na przewodnika, który szedł dalej z niezachwianą powagą. Zdało się mu z razu, że między liśćmi zabłyszczały czarne oczy ukrytego Indyanina, lecz gdy nie postrzegł nic więcej i nie usłyszał żadnego szelestu, wziął to za przywidzenie, rozśmiał się ze swojej pomyłki i znowu zaczął przerwana rozmowę.

Nie była to jednak pomyłka; albo przynajmniej Hejward w tém się tylko pomylił,

że czujnej baczości swojej pozwolił zdrze-
mać na chwilę.

Zaledwo podróżni odjechali, rozchyliły
się gałęzie krzaku i wysunęła się głowa
ludzka tak szkaradna, jak tylko mogły ją
uczynić malowidła dzikiego i wszystkie
wrzące w nim namiętności.

Okrutna radość zabłysła na jego twarzy,
kiedy śledząc wzrokiem spodziewane swe
ofiary, ujrzał kierunek ich drogi. Przewod-
nik idący o kilkanaście kroków naprzód,
już skrył się przed jego oczyma; wdzięcz-
ne postaci kobiet i major jadący tuż za nie-
mi, a nakoniec nauczyciel śpiewania, tylnia
straż orszaku, jeszcze raz ukazali się mię-
dzy drzewami i kolejno znikli w gęstwini
puszczy.

ROZDZIAŁ III.

Nie zawsze te równiny tak uprawne były,
Las je porastał głuchy i potoki ryły;
A wody, jedne drugim dodając hałasu,
Same tylko mieszały martwą cichość lasu.

Bryant.

POZWALAJĄC nadto zaufanemu Hejwardowi i młodemu jego towarzyszkom, zagłębiać się w lasy kryjące tak zdradliwych mieszkańców, na mocy przywileju nadanego pisarzom, przeniesiemy uwagę czytelnika, z miejsca gdzieśmy ich zostawili, o kilka mil dalej ku zachodowi.

Dnia tegoż, dwóch ludzi zatrzymało się tu nad brzegiem wąskiej lecz bardzo bystrej rzeki, prawie o godzinę drogi od obozu Weba. Zdawało się, że czekali ko-

goś trzeciego, lub uwiadomienia o jakimś niespodzianym wypadku. Rozłożyste gałęzie drzew odwiecznych wyciągając się aż nad rzekę, posępném sklepieniem pokrywały jej wody. Już i blask i upał dzienny słabiał powoli, w miarę tego jak mgły z jezior, rzek i krynic, nakształt zastony rozwijały się w powietrzu. Cisza zwyczajna pustyniom Ameryki podczas skwarów czerwcowych, panowała w tej ustroni, i ledwo tylko mieszał ją głos cichej rozmowy między dopiero wspomnianymi ludźmi, głuchy stuk dziecięcia, niesforny wrzask sojki i oddalony szum wodospadu.

Słabe te głosy tak były znajome uszom dwóch przychodniów, że bynajmniej nie rozrywały ich uwagi zajętej przedmiotem rozmowy. Jeden miał skórę czerwoną i odzież dzikiego mieszkańca lasów; drugi, mimo prosty i prawie dziki sposób urządzenia wszystkich swych przyborów, nosił na twarzy,

jakkolwiek ogorzałej od słońca, świadectwo europejskiego rodu.

Pierwszy z nich siedział na kłodzie mechem pokrytej, w takiej postawie, aby wyrazistej swej mowie mógł dodawać mocy, przez spokojne, lecz dobitne poruszenia rozprawującego Indyanina. Głowa jego ogolona bardzo gładko miała tylko na wierzchołku czubek włosów, który rycerski duch Indyan każe zostawiać jako urągowisko dla nieprzyjaciół ubiegających się o zdarcie jego (*). Zdobitło go tylko wplecione wielkie pióro orle, końcem spadające na ramię lewe. Tomahawk i nóż roboty angielskiej, do obdzierania głów przeznaczony, wisiały mu u pasa, a strzelba z gatunku tych, jakimi polityka białych uzbrajała ich sprzymierzeńców dzikich, leżała w poprzek na jego kolanach. Z szerokich piersi, z człou-

(*) Dziecy Amerykanie mają barbarzyński zwyczaj obdzierać włosy razem ze skórą, zabitym lub rozzbrojonym w czasie potyczki.

ków ukształconych zupełnie, i z poważnej postawy, można było poznać dojrzałego wojownika, ale żaden ślad starości, żaden znak słabiejącej siły nie ukazywał się na nim.

Z części ciała człowieka białego niezakrytych odzieniem, można było wnosić że od dzieciństwa wiódł twarde i nędzne życie. Był wysoki, miernej tuszy, chudy prawie; ale zdawało się że trudy i ciągłe działanie przykrych zmian powietrza, wszystkim jego członkom pewny hart nadały. Miał na sobie kurtkę myśliwską ciemno zieloną z wypustkami żółtymi; wytartą czapkę futrzaną i pas podobny do tego, co ściszał mniej pospolite odzienie Indyanina, z nożem takimże jak u niego, lecz bez tomahawku. *Mokkasiny* (*) jego były ozdobione sposobem krajowców, a golenie opatrzone w skórzanym kamasze, sznurowane po bokach, i uwią-

(*) Obuwie nakształt chodaków robione ze skór zwierzęcych.

zane pod kolanami rzemykiem danielowym. Torba strzelecka i rożek od prochu wisiały mu przez plecy, a długa rusznica, którą przemyślniejsi Europejczycy dali poznać dzikim, jako broń najbardziej zabójczą, stała oparta o najbliższe drzewo. Oko tego strzelca, szpiega, lub kogokolwiek bądź takiego, było małe, ogniste i biegające. Cały zajęty rozmową, toczył je po wszystkich stronach, jakby upatrywał zwierzyny, lub lękał się czego. Mimo tę jednak niespokojność podejrzliwą, twarz jego nie oznaczała człowieka nawykłego do zbrodni, owszem malowała, w tej chwili, szczerłość rubaszną.

— Wasze podania nawet, mówią za mną, Szyngaszguku, — rzecze strzelec językiem wspólnym wszystkim narodom mieszkającym niegdyś między Hudsonem i Potomakiem; my zaś jakkolwiek dowolnie przetłumaczyliśmy słowa jego naszemu czytelnikowi, staraliśmy się jednak zachować to wszystko, co mo-

że szczególnie odznaczać mówiącego i jego mowę. — Ojcowie wasi przyszli od zachodu słońca, przebyli rzekę wielką, pobili mieszkańców krajowych i zabrali ich ziemie: moi, od strony gdzie świt jasnymi barwy przyozdobia brzeg nieba, przepłynąwszy przez ogromne jezioro wód słonych, rozgarnęli ręce i poszli, że tak powiem, zaprzykładem waszych. Niech więc Bóg nas sądzi i niechaj się z tego powodu przyjaciele nie kłócą.

— Ojcowie moi równą bronią pobili ludzi czerwonych, dumnie odpowiedział Indyanin. Powiedz mi, Sokole Oko, nie masz że różnicy między strzałą wojowników naszych nasadzoną ostrzem kamienném, a ołowianą kulą, którą wy zabijacie?

— Indyanin ma rozum, chociaż przyrodzenie czerwoną dało mu skórę, — rzecze biały, spuszczać głowę jakby słuszością tej uwagi przekonany, że nie najlepszej sprawy bronił; ale po chwili milczenia, zebrał wszystkie swe siły umysłowe i odpowie-

dział na zarzut przeciwnika ile mu ograniczone wiadomości pozwalały.

— Nie jestem uczony, dodał wreszcie, nie wstydzę się wyznać tego, ale widzia i łem co twoi rodacy dokazują polując na daniele i wiewiórki; skąd wnosić mogę, że strzelba w ręku ich pradziadów nie więcej byłaby straszna, jak strzała z ostrzem kamienném.

— Prawisz jak ci twoi ojcowie prawili, odpowiedział Szyngaszguk z pogardliwém skinieniem ręki. Ale cóż mówią starcy wasi? mówiali młodym wojownikom swoim, że kiedy twarze blade napadły ludzi czerwonych, ci byli umalowani na wojnę, mieli siekiery kamienne i strzelby z drzewa?

— Ja nie mam przesądów i nie jestem z tych co lubią chełpić się wyższością urodzenia, chociaż największy mój nieprzyjaciel, Irokańczyk nawet, nie ośmieli się zaprzeczyć temu, żem prawdziwie biały, — od-

powiedział strzelec, z wewnętrznem zadowoleniem poglądając na swoje ręce ogorzałe od słońca.— Prawda, jako poczciwy człowiek nie mogę pochwalić w niektórych rzeczach ludzi mojego koloru. Mają oni na przykład zwyczaj, wszystko co zrobili lub widzieli, zapisywać w książkach, nie zaś opowiadać po wioskach, gdzieby w oczy można było zawstydzić podłego chwaliburcę, gdzieby mąż prawy mógł wezwać towarzyszków na świadectwo słów swoich. Skutkiem tego zwyczaju, człowiek mający sobie za grzech trawić dni między kobietami i wyczytywać znaki czarne na papierze białym stawione, nigdy czasami nie słyszy o czynach swych ojców, któreby go do naśladowania a nawet i przewyższenia ich zachęcić mogły. Co do mnie, jestem pewny że wszyscy Bumpowie byli strzelcy wyborni, bo mam wrodzoną zdatność do strzelania; a jak święte objawienia nam mówią, wszystkie własności złe, czy dobre,

z przodków na potomków spływają, chociaż w tej mierze nie chciałbym obstawać za nikim. Z resztą każde zdarzenie opowiadają tak i owak; a zatem pytam ciebie Szyngaszguku, co było kiedy ojcowie nasi raz pierwszy spotkali się z sobą?

Chwila milczenia nastąpiła po tém zapytaniu. Indyanin przybrał całą swą powagę i zaczął mówić tak uroczystym głosem, że koniecznie trzeba było mu wierzyć.

— Słuchaj mię, Sokole Oko, rzecze, a kłamstwo do twoich uszu nie wnijdzie. Powiem ci co mnie ojcowie mówili, i co zdziałałi Mohikanie.— Zaciął się trochę, i, rzuciwszy na towarzysza przenikliwe spojrzenie, mówił dalej w sposób zapytania niżeli twierdzenia raczej: — Woda rzeki u nóg naszych płynącej czy nie staie się słoną w pewnych czasach i bieg jej czy nie cofa się wstecz do źródła?

— Nie można zaprzeczyć temu, wasze i o-

dania w tej mierze są rzetelne; sam to widziałem co mi powiadasz, chociaż zdaje się trudno pojąć, dla czego woda słodka w jednej chwili tyle goryczy nabiera.

— A bieg jej? — zapytał Indyanin, żądając dokładnej odpowiedzi, jak ten co chciałby słyszeć potwierdzenie cudu, w który wierzyć musi, chociaż pojąć go nie może; — to jakże, ojcowie Szyngaszguka nie skłamali?

— Ani biblija święta nie jest prawdziwsza, odpowiedział strzelec, i w całym przyrodzeniu nic widoczniejszego nie masz. Biali nazywają to wezbraniem czyli odlewem morza. Rzecz jasna i do pojęcia łatwa: woda morska przez sześć godzin wstępuje w rzeki i przez sześć godzin wychodzi na powrót, a to dla tego: kiedy woda w morzu jest wyższa niż w rzekach, natenczas póty do nich wpada, póki nawzajem rzeki nie staną się wyższe i znowu do morza płynąć nie zaczną.

— Woda rzek z naszych lasów płynących

do wielkiego jeziora, ciągle z góry na dół spada, póki się nie ułoży jak moja ręka, — rzecze Indyanin poziomie wyciągając ramię, — i wtenczas już nie płynie.

— Temu uczciwy człowiek zaprzeczyć nie może, — odpowiedział biały, urażony nieco, że Indyanin tak mało uwierzył w jego wyłożenie tajemnicy przyptywu i odpływu morza, — ale to co powiadasz sprawdza się tylko na małej przestrzeni, i kiedy ziemia jest równa. Wszystko zależy od miary podług jakiej uważasz rzeczy. Mała przestrzeń ziemi jest płaska; wielka zaś okrągła. Tym sposobem woda może spokojnie stać w wielkich jeziorach słodkich, o czem i ty i ja wiemy, bośmy to oba widzieli; lecz gdy ją rozlejesz na ogromnej przestrzeni, jak morze, gdzie ziemia jest okrągła, czy rozsądnie będzie myśleć natenczas, że się utrzyma w miejscu? Byłoby to zupełnie toż samo, co mniemać, że woda utrzyma się na pochyłości skał

czarnych, tam o milę stąd leżących, eho siaż i teraz twoje uszy jej spadanie słyszą.

Jeżeli rozumowania filozoficzne białego niedosyć przekonywały Indyanina; dzięki miał przynajmniej tyle godności, że niechciał popisywać się z niedowiarstwem. Słuchał jak gdyby wierzył; a potem znowu zaczął opowiadać równie uroczystym głosem.

— Przybyliśmy ztamtąd, gdzie słońce kryje się na noc, przez rozległe równiny będące pastwiskiem bawołów nad brzegami rzeki wielkiej; pobiliśmy Alligewów: krew ich zczerwieniła ziemię, i od brzegów rzeki wielkiej, aż do wielkiego jeziora wód słonych, niespotkaliśmy już nikogo. Makwy z daleka szli za nami. Powiedzieliśmy, że kraj będzie naszym od miejsca gdzie woda w tej rzece cofać się przestaje, aż do rzeki o dwadzieścia dni drogi w stronie lata płynącej. Jako mężowie zatrzymaliśmy ziemię, którą podbiliśmy jako wojownicy. Przeognaliśmy Makwów razem z niedźwiedziami

w głąb lasów: odtąd ledwo brzegiem ust kosztowali oni soli, nie pływali po wielkiem jeziorze słonem, zjadali tylko wyrzucone wnętrzości ryb naszych.

— Słyszałem o tém wszystkiem i wierzę,
— odezwał się strzelec, skoro Indyanin zamilkł;— ale to było bardzo dawno przed tém nim Anglicy przybyli tutaj.

— Sosna stała na tém miejscu gdzie teraz ten kasztan. Pierwsze twarze blade które przybyły do nas, nie mówiły po angielsku; przyniosła je łódź wielka wówczas kiedy ojcowie moi zakopali Tomahawk wśród ludzi czerwonych. Wtenczas, Sokole Oko,— i głos Indyanina tém tylko wydał żywe wzruszenie jego, że stając się co raz bardziej głuchy i harkawy, przybrał harmoniją mowie dzikich wyłącznie właściwą, — wtenczas, Sokole Oko, jeden tylko składaliśmy naród i byliśmy szczęśliwi. Żony darzyły nas dziećmi; ryb jezioro słone, danielów puszcze, powietrze dostarczało nam ptaków.

Czciliśmy Wielkiego Ducha, a Makwów trzymaliśmy tak daleko, że nie mogli słyszeć naszych pieśni tryumfalnych.

— A wieszże czém byli wtenczas przodkowie twoi? ale jak na Indyanina jesteś zacny człowiek, i ponieważ mniemam, że odziedziczyłeś ich przymioty, musieli byź walecznymi wojownikami, mędrkami zasiadającymi koło ogniska walnej rady.

— Pokolenie moje jest matką wielu narodów: ale w mych żyłach krew niezmięszana płynie. Holendrzy na brzeg wysiedli i podali wodę ognistą (*) ojcom moim, którzy pili ją póty aż zdało się obłąkanym, że niebo zstąpiło na ziemię i że widzą Wielkiego Ducha. Wtenczas stracili posiadłości swoje i, krok po kroku musieli oddalać się od brzegów. Ja który jestem wodzem i Sagamore, nigdy inaczej nie widziałem słońca,

(*) Wódkę, gorzałkę.

jak przez gałęzie drzew leśnych, nigdy nie odwiedziłem mogił mych ojców.

— Mogiły obudzają poważne i uroczyste myśli,— rzecze biały, wzruszony mężną spokojnością swego towarzysza; — ich widok utwierdza częstokroć człowieka w przedsięwzięciach dobrych. Co do mnie, spodziewam się bez pogrzebu zgnić w lesie, jeżeli tylko nie stanę się pastwą wilków. Ale gdzie jest twoje pokolenie, które, wiele lat już temu, w Delawarach znalazło swych krewnych?

— A gdzie są kwiaty tych lat wielu? zwiędły i upadały jedne po drugich: tak stało się i z przodkami, i z rodakami mymi; jedni po drugich przenieśli się do ziemi duchów. Ja stoję na wierzchołku góry, lecz będę musiał zejść na dolinę; a kiedy i Unkas pójdzie za mną, nie zostanie ani jednej kropli krwi Sagamorów, bo syn mój jest ostatnim Mohikanem.

— Unkas jest tutaj, — odczwał się nie da-

leko ktoś trzeci, podobnie miłym i gardłowym głosem; — czego chcesz od Unkasa?

Strzelec wyciągnął nóż ze skórzanych pochew, i drugą ręką mimowolnie sięgnął po rusznicę; lecz Indyanin nie okazał żadnego wzruszenia, ani nawet nie zwrócił głowy, żeby zobaczyć kto tak niespodzianie przemówił.

W tejże prawie chwili, młody wojownik lekkim krokiem bez najmniejszego szelestu przemknął się między nimi, i usiadł nad brzegiem rzeki. Ojciec nie wydał żadnego głosu podziwienia, syu również milczał, i zdawało się, że oba przez kilka minut czekali przyzwoitego czasu, w którymby mogli przemówić bez okazania ciekawości kobiecej, lub niecierpliwości dziecinnej. Biały, jakby chcąc stosować się do nich, włożył swój nóż w pochwy, i podobnąż przybrał obojętność.

Nakoniec Szyngaszguk zwolna podnosząc oczy na syna, zapytał: — A co, Makwy czy

śmieli zostawić w lesie ślad mokkasinów swoich?

— Tropiłem ich wszędy, odpowiedział Indyanin młody; i wiem że jest ich tyle ile palców w obu mych rękach; ale kryją się jak tchórze.

— Zbójcy szukają rabunku, albo głowy do obdarcia, — rzecze biały, którego, podobnie jak Szyngaszguk, ciągle Sokolém Okiem będziemy nazywali. — Montkalm podszle szpiegów aż pod sam nasz obóz; ale się dowie jakiem ogrzewamy się drzewem.

— Dosyć natem, — rzecze ojciec, pogładając na słońce zbliżone już do poziomu: — ruszą się oni jak daniela ze swoich kryjówek. Weźmy posiłek wieczorny, Sokole Oko, a jutro pokażemy Makwom żeśmy mężowie.

— Gotów jestem na jedno i na drugie, odpowiedział strzelec; ale żeby pobić tych niekzemnych Irokauów, trzeba ich wprzód znaleźć; a żeby wziąć posiłek, trzeba mieć zwierzynę. — Ach! wspomnij tylko diabła,

zaraz i rogi zobaczysz. Widzę tam w krzaku pod tą górą parę tak pięknych rożków, jakich jeszcze niewidziałem tego lata. No, Unkas, dodał zniżając głos przez natógową ostrożność; w zakład o trzy naboje prochu, przeciw pół łokcia wampum, że w sam łeb i to bliżej lewego oka trafię.

— Nie sposób, zawołał młody Indyanin zrywając się z całą żywością swojego wieku; ledwo końce rogów widać.

— Dziecko jeszcze, rzecze biały do ojca, wstrząsając głową; zdaje się jemu, że strzelec widząc jedną część daniela nie może zgadnąć jak stoi cały?

To mówiąc przyłożył strzelbę do twarzy, i już miał dać dowód że się nie próżno z biegłości swojej chlubił, ale wtem doświadczony wojownik ręką odtrącił mu broń na stronę, i rzekł:

— Czy masz ochotę, Sokole Oko, dziś spotkać się z Makwami?

— Indyanie ci jak przez instynkt umieją

zachowywać się w lasach, rzucając strzelec postrzegając swój błąd i opuszczając na ziemię kolbę rusznicy.

— Unkas, przydał obracając się do młodzieńca, muszę tego daniela odstąpić twojej strzale, bo inaczej zabilibyśmy go dla tych łotrów Irokanów.

Ojciec dał znak zezwolenia, syn upoważniony jego skinieniem, padł płazem na ziemię i zaczął podpełzać ostrożnie. Kiedy już zbliżył się do krzaków ile mu potrzeba było, z największą starannością założył strzałę i łuk naciągnął, a wtém daniel, jakby czując jakie niebezpieczeństwo, podniósł głowę i całe ukazał rogi.

W chwilę potem, warknęła cięciwa, biały prątek przeciął powietrze i zniknął w krzaku, a raniony daniel wyskoczył z niego. Unkas widząc że przeszyte zwierze na oślep leciało przeciw niemu, usunął się z drogi i w szybkim rozmijaniu zręcznie zatopił mu nóż w gardło. Ze straszliwem

wierzgnięciem krwawa zdobycz wpadła do rzeki i zarumieniła wodę.

—Oto prawdziwa zręczność indyjska, rzecz strzelec uradowany, było na co patrzeć. Zdaje się jednak że strzała nie może obejść się bez pomocy noża.

— Cyt! zawołał Szyn-gaszguk, obracając się do niego tak szybko, jak pies kiedy trop zwietrzy.

— Cóż! czy nie całe stado! rzecz strzelec z zapalem myśliwskim iskrzącym się już w jego oku. Jeżeli tu wejdzie ubiję jednego chociażby mój strzał wszystkie sześć narodów miał poruszyć. Czy słyszałeś co Szyn-gaszguku? bo dla mojego ucha lasy zupełnie są nieme.

— Nie było więcej danieli jak jeden, i ten już nie żyje, odpowiedział Indyanin nachylając ucho prawie aż do samej ziemi; ale słyszę tentent stapania.

— Może wilki rozpłoszyły daniela po lesie i pędzają się za niemi.

— Nie, nie, rzecze Indyanin powstając poważnie, i ze zwyczajną sobie spokojnością usiadając znowu na kłodzie; słyszę konie ludzi białych, twoich braci, Sokole Oko; ty przemówisz do nich.

— Zapewne, przemówię, i tak dobrą angielszczyzną, że sam król, nie wstydziłby się odpowiedzieć. Ale ja nie widzę nikogo; nie słyszę ani koni, ani ludzi. To rzecz dziwna, że Indyanin łatwiej pozna je zbliżanie się białych niż człowiek który, jak to sami nieprzyjaciele przyznać muszą, ma krew bynajmniej nie zmieszana, chociaż między czerwonymi żyje dość długo aby go o to posądzić było można. — O! sucha gałąź skrzypnęła. — Słyszę teraz szelest poruszonych krzaków. — Tak, tak, rozumiałem że to szmer spadającej wody — Ale otoż i jadą — Strzeże ich Pan Bóg od Irokanów!

ROZDZIAŁ IV.

„Czyń co zechcesz, pozwalam; lecz pamiętaj na to,
Że nim wyjdiesz z tych lasów, spotkasz się z zapłatą.

Szekspir.

ZALEDWO strzelec wymówił słowa na końcu poprzedzającego rozdziału umieszczone, naczelnik europejczyków, których czujne ucho Indyanina posłyszało z daleka, ukazał się zupełnie. Jedna ze ścieżek ubitych przez danięle podczas peryodycznych ich przechodów, przerzynała małą dolinę i kończyła się u rzeki właśnie w tém miejscu, gdzie biały i dwaj jego towarzysze czerwoni obrali sobie stanowisko. Podróżni, tą ścieżką powoli zbliżali się do strzelca, który czekał ich stojąc na czele dwóch dzikich.

— Kto tam? zawołał Sokole Oko, chwyciwszy strzelbę na lewem ramieniu opartą niedbale, i bardziej przez ostrożność niż dla postrachu biorąc wielkim palcem za kurek, a wskazującym za cęgiel. Któż to przychodzi tutaj nie lękając się niebezpieczeństw i dzikich zwierząt pustyni?

— Chrześcianie, odpowiedział jądący najpierwej; przyjaciele praw i króla, podróżni od wschodu słońca bez posiłku przebywający te lasy i zmordowani niemiłosiernie.

— Zbłądziliście zatem, i poznaliście jaki to kłopot, kiedy nie wiadomo czy w prawo, czy w lewo wiać się trzeba.

— Naksztalt tego: dziecko u piersi tyle wie gdzie je niosą, ile my gdzie nas prowadzą. Czy nie mógłbyś nam powiedzieć jak daleko stąd do twierdzy William Henryk zwanej?

— Co! do William Henryk! zawołał strzelec z głośnym śmiechem, który uciął nagle, jakby lękając się, żeby go nie usły-

szął nieprzyjaciel dybiący za nim. Zbiliście się z tropu gorzej niż ten gończy, coby gnał na tej stronie Horykanu, kiedy już zwierz na tamtej. Jeżeli jesteście przyjaciółmi króla, i macie jakie stosunki z jego wojskiem, lepiejbyście pojechali z biegiem tej rzeki do twierdzy Edwarda, gdzie Jenerał Web, traci czas napróżno, zamiast coby miał wystąpić nad wąwozy i tego śmiałka francuza za jezioro Szamplen odeprzeć.

Nim strzelec odebrał odpowiedź na te słowa, drugi jezdziec ukazał się z pomiędzy krzaków i zbliżył się do niego.

Jakże więc jesteście daleko od twierdzy Edwarda? zapytał ten nowo przybyły. Dziś rano wyjechaliśmy z tamąd, dokąd nam udać się radzisz, i życzylibyśmy sobie byź w drugiej twierdzy na końcu jeziora położonej.

— Straciliście zatem wprzód oczy niż drogę, gdyż wątpię czy która ulica w Londynie, nawet przed pałacem królewskim

jest tak szeroka jak gościniec z twierdzy jednej do drugiej.

— Nie będę się sprzeczał o to, czy jest ten gościniec i jak szeroki, odezwał się pierwszy podróżny, albo prościej mówiąc major Hejward, bo już czytelnicy poznali go zapewne, powiem ci tylko, że spuściliśmy się na przewodnika Indyanina, który miał nam pokazać krótszą, chociaż nie tak szeroką drogę, lecz nadto zaufaliśmy jego znajomości lasów, jedném słowem, niewiemy gdzie jesteśmy.

— Indyanin nie zna lasów! zawołał strzelec wstrząsając głową z wyrazem niedowierzania. Kiedy słońce oświecało najwyższych drzew wierzchołki, kiedy na rzekach szumiały wodospady, kiedy każdy meszek pokazywał jemu z której strony gwiazda nocy zaświeci, kiedy jeszcze nie wszystkie stada gęsi dzikich odleciały do Kanady; kiedy w puszczy pełno danielowych ścieżek; Indyanin zbłądził między Horyka-

nem, a tym zakrętem rzeki — to rzecz dziwna! Czy on jest Mohawk?

— Nie, tylko przyjęty do tego pokolenia; zdaje się zaś, że urodził się dalej na północy i jest, jak wy nazywacie, *Huronem*.

— Oh! oh! zawołali dwaj Indianie zrywając się szybko bez względu na obojętność i powagę z jaką dotąd przysłuchiwali się tej rozmowie.

— Huronem, powtórzył strzelec z nieufnym wzruszeniem głowy; Plemię to zawsze rozbojnicze, pod jakimkolwiek bądź nazwiskiem. Ponieważ państwo powierzyliście się jednemu z tego narodu, to międziwi tylko, że nie spotkaliście ich więcej.

— Zapominasz com powiedział, przewodnik nasz został Mohawkim, sprzymierzeńcem naszym i służy teraz w naszym wojsku.

— A ja powiadam panu, że kto się urodził Mingo, ten i umrze Mingo. Mohawkim! W Delawarach to, w Mohikanach,

szukaj pan ludzi poczciwych i wojowników mężnych, chociaż rzadko kiedy biją się oni teraz; bo z łaski zdradzieckich swych nieprzyjaciół Makwow, muszą cierpieć, żeby ich nazywano babami.

— Dosyć, dosyć, rzecze Hejward zniecierpliwiony trochę; nie proszę o poświadczenie, czy człowiek którego ja znam, a sam nie znasz, jest poczciwy lub nie. Odpowiedz mi lepiej na moje pytanie: jak daleko jesteśmy od głównego sztabu i od twierdzy Edwarda?

— Tak daleko jak się podoba przewodnikowi pańskiemu. Zdaje się, że koń taki jak pański nie mało może ubiedz od wschodu do zachodu słońca.

— Nie chcę przyjacielu ucierać się z tobą na słowa, rzecze Hejward łagodniej i starając się przytłumić w sobie poruszenie gniewu. Gdybyś powiedział nam, jak daleko twierdza Edwarda, i chciał nas zaprowadzić do niej, pewnobyś nie żałował tego.

— Możliwym to i uczynił, gdyby mię kto zapewnił że niebędę przewodnikiem nieprzyjaciela, że nie podprowadzę Montkalmowskiego szpiega. Nie wszyscy ci, co mówią po angielsku, są stronnikami króla.

— Jeżeli należysz do naszego wojska, i jak sądzę jesteś wysłany na wzwiady; musisz znać sześćdziesiąty półk królewski.

— Półk sześćdziesiąty! mało Pan możesz wspomnieć mi oficerów służących Królowi w Ameryce, którychbym nie znał po nazwisku; chociaż zamiast czerwonego munduru, noszę zieloną kurtkę strzelecką.

— Kiedy tak, to musisz wiedzieć jak się nazywa major tego półku.

— Major! zawołał strzelec prostując się z niejaką pychą. Jeżeli Pan szukasz tego, ktoby znał majora Efigama; masz go przed sobą.

— Wielu jest majorów w półku; Efigam z nich najstarszy; ale ja chciałem mówić o tym, co najpóźniej ten stopień otrzy-

mał i dowodzi teraz załogą w twierdzy William Henryka.

— Słyszałem, słyszałem, że jakiś człowiek bardzo bogaty, gdzieś tam z prowincyi południowych przybyły otrzymał to miejsce; a chociaż za młody żeby brać takie zaszczyty mimo nosa tych, co posiwili w służbie, powiadają jednak, że doskonale zna żołnierkę i jest człowiek honorowy.

— Ktokolwiek on taki i jakiegokolwiek może mieć prawo do tych zaszczytów, jego samego widzisz przed sobą i za nieprzyjaciela uważać nie powinienes.

Strzelec spojrzał na Hejwarda z zadziwieniem, zdjął czapkę i zaczął mówić mniej swobodnie, ale zawsze z niedowierzaniem jakimś.

— Słyszałem że część wojska miała dziś rano wyruszyć z obozu i ciągnąć nad jezioro?

— Słyszałeś prawdę; ale ja wolałem udać

się drogą krótszą, jaką miał mi pokazać Indyanin, o którym mówiłem.

— Który pana oszukał, zaprowadził w lasy i porzucił.

— Nic z tego wszystkiego nie uczynił; przynajmniej nie porzucił, bo jest o kilka kroków za nami.

— Chciałbym go zobaczyć. Jeżeli prawdziwy Irokanin, poznam to z jego rozbojniczej miny i z malowidła na twarzy.

To mówiąc pominął klacz psalmisty i zrzedł, które korzystając z popasu, posilało się mlekiem swej matki, i wyszedł na ścieżkę, gdzie dwie damy równie z niecierpliwością, jak z trwogą czekały końca rozmowy. O kilka kroków dalej stał Indyanin plecami oparty o drzewo, i przyjął przenikliwe spójrzenie strzelca, z twarzą spokojną, lecz tak ponurą i dziką, że sam jej widok mogłoby każdego przerazić.

Zadowolony swoim badaniem strzelec, odszedł na powrót, a pomijając dwie siostry za-

trzymał się trochę, jakby ich wdziękami uderzony, i z widoczném ukontentowaniem oddał ukłon Alinie, kiedy ta z uprzejmym uśmiechem skłoniła się jemu. Przechodząc koło klaczy karmiącej zrzebieg zastanowił się jeszcze, chcąc zgadnąć, ktoby to taki siedział na niej, i znowu powrócił do Hejwarda.

— Mingo, zawsze jest Mingo, — rzecze po cichu, i wstrząsając głową; — kiedy go Bóg stworzył takim, ani Mohawk, ani nikt w świecie nie potrafi odmienić. Gdybyśmy byli sami tylko i gdybyś pan chciał tego pięknego rumaka zdać na łaskę wilkow, w godzinę zaprowadziłbym pana do Edwarda; ale ponieważ, jak widziałem są jeszcze i {kobiety tutaj, to rzecz niepodobna.

— Dla czegoż? Nie zważaj że one są utrudzone, mogą jeszcze przejechać mil kilka.

— Rzecz niepodobna.—odpowiedział strzelec stanowczym głosem.— Za najlepszą strzelbę, jaka tylko jest w osadach, nie chciałbym

po zachodzie słońca jednej mili iść lasem z przewodnikiem takim. Są tu w puszczy Irokanie ukryci, a mianowany Mohawk pański, wie dobrze gdzie ich szukać.

— Tak więc powiadasz? — rzecze Hejward pocichu, schylając się do strzelca. — Ja sam miałem go trochę w podejrzeniu, ale żeby nie zastraszać towarzyszek moich, starałem się ufność okazywać. Widać jednak że niedowierzałem jemu, kiedy wolałem już sam szukać drogi niżeli iść za nim.

— Od pierwszego spojrzenia poznałem jakiej to bandy zbójca, — rzecze strzelec przykładając do ust palec na znak ostrożności. — Widzisz Pan nad innymi drzewami gałęzie tego jaworu cukrowego: łotr stoi o jego pień oparty i prawą nogę trzyma naprzód wyciągniętą, mogłbym stąd, — dodał uderzając z lekka po swojej rusznicy, — wsadzić mu kulę pod kolano i na cały miesiąc odebrać ochotę od włóczenia się po lasach. Gdybym raz jeszcze powrócił do niego; przebiegły hultaj

poznałby, że tu chodzi o coś i pierzchnąłby w krzaki jak daniel spłoszony.

— Nie czyń tego : nie pozwolę na to. Może jest niewinny... jednakże, gdybym był przekonany że chciał zdradzić!....

— Nie lękaj się pan pomyłki uważając Irokańczyka za zdrajcę, — odpowiedział strzelec prawie mimowolnie podnosząc strzelbę do twarzy.

—Poczekaj!—zawołał Hejward;—nie zgadzam się na ten środek : trzeba szukać innego; chociaż tylko co nie jestem pewny że łotr mię oszukał.

Posłuszny majorowi strzelec, odrzucił zamiar uczynienia przewodnika niezdolnym do biegu i zastanowiwszy się nieco, skinieniem przywołał swoich towarzyszków czerwonych. Kiedy się ci zbliżyli, zaczął do nich pocichu lecz z zapałem mówić ich językiem, a z częstego ukazywania ręką na gałęzie jaworu, można było poznać że opisywał im, jak i gdzie stoi nieprzyjaciel. Mohikanie

zaraz złożyli broń ognistą, udali się każdy w inną stronę i kołując zdaleka, weszli w gęstwinę lasu tak ostrożnie, że najmniejszy szelest kroków ich nie zdradzał.

— Teraz, powróć pan do tego łotra, — rzece strzelec, — i zacznij z nim gawędę; a tym czasem ci dwaj Mohikanie wypadną nagle i przytrzymają go, bez otarcia malowidła nawet.

— Na cóż, ja sam go przytrzymam, — rzece Hejward zarozumiale.

— Pan! coż pan na koniu poradzisz Indyaninowi w gęstym lesie?

— Zsiędę z konia.

— Oho! czy pan myślisz, że on postrzegłszy jedną nogę umykającą ze strzemienia, będzie czekał póki pan wyjmiesz drugą? Kto chce złapać Indyanina w lesie, niech puszczą się na jego własne wybiegi. Ruszaj pan zatem i rozmawiaj z nim tak pięknie, jak gdybyś uważał go za najwierniejszego przyjaciela.

Hejward nie czując się zdolnym do odegrania roli, tak sprzecznej z jego charakterem otwartym, ociągał się czas niejakiś; ale gdy mu przyszło na myśl, że przez zaufanie ślepe, naraził na niebezpieczeństwo kobiety powierzone jego opiece; że z coraz ciemniejszym zmrokiem zbliżała się chwila pożądana barbarzyńcom do wykonania okrutnych zamiarów zemsty: tknięty najżywszą obawą, bez odpowiedzi zawrócił konia, i pojechał ścieżką.

Strzelec w tej chwili zaczął rozmawiać głośno z owym nieznajomym, co tak poufale przypisał się do towarzystwa podróżnych; a Hejward zatrzymał się przy kobietach, powiedział im kilka słów pocieszających i postrzegłszy że nie dorozumiewały się o co rzecz chodziła, utwierdził w mniemaniu, iż całą przyczyną kłopotu była niewiadomość drogi. Nakoniec zbliżył się do Indyanina ciągle w jednostajnej postawie opartego o drzewo.

— Widzisz Magua, — rzecze starając się

przybrać ton zaufania i otwartości; — noc już nadeszła, a my jeszcze tak daleko jesteśmy od twierdzy William - Henryka jak byliśmy o wschodzie słońca wyjeżdżając z obozu Weba. Zbłądziłeś z drogi i mnie nie udało się jej znaleźć; ale szczęściem napotkałem strzelca, co teraz rozmawia tam z naszym śpiewakiem: zna on wszystkie ścieżki, wszystkie zakąty w lesie; uprosiłem go, żeby nas wyprowadził na miejsce, gdziebyśmy przynajmniej bezpiecznie do świtu czekać mogli.

— Czy on jest sam jeden? — zapytał Indyanin złą angielszczyzną, wlepiając w majora jaskrawe swe oczy.

— Sam . . . jeden! — zacinając się odpowiedział Hejward nie wyćwiczony w szkole obłudy; — nie, Magua, nie sam jeden . . . my z nim jesteśmy.

— Jeżeli tak, Chytry Lis pójdzie sobie; — rzecze dziki z krwią najzimniejszą, podnosząc mały tłomoczek leżący u nog jego, — i twarz

blade będą już tylko widziały ludzi swojego koloru.

— Pójdzie! kto? kogo nazywasz Chytrym Lisem?

— Magua dostał to imię od swoich ojców Kanadyjskich; — odpowiedział dziki tonem pokazującym, że uważał sobie za chlubę mieć nadany przydomek, chociaż wiedział zapewne, że ten jakim go uczczono, nie bardzo pochlebnie uprzedzał o nim. — Noc i dzień, wszystko jedno dla Chytrzego Lisa, kiedy go Munro czeka.

— I cóż Lis powie dowódcy William-Henryka o jego dwóch córkach? Będzież śmiał porywczemu Szkotowi powiedzieć, że przyrzekłszy służyć im za przewodnika, porzucił w lesie?

— Głowa Siwa ma głos mocny i ramię długie; ale ani ten głos, ani to ramię, nie-dosięgną Lisa w lesie.

— Ale Mohawki cóż powiedzą na to? Uszyją oni jemu spódnicę i jak niegodnemu bydź

wśród mężczyzn i wojowników, każą z kobietami w Wigwamie (*) siedzieć.

— Lis więc drogę do wielkich jezior, i w każdej porze może znaleźć kości swych ojców.

— No, no, Magua, nie kłóćmy się z sobą, czyliż nie jesteśmy przyjaciółmi. Munro obiecał ci nagrodę, a ja z mojej strony przyrzekam większą jeszcze, jeżeli wypełnisz swój obowiązek. Utrudziłeś się trochę i otworz tłomoczek i posil się sobie, bo trzeba poczekać chwilkę, nim te kobiety wychną.

— Twarze blade, są to psy swoich kobiet, — zamruczał Indyanin swoim językiem; — kiedy one jeść zechcą, wojownik musi tomahawk porzucić i dogadzać ich lenistwu.

— Co tam mówisz, Lisie?

— Lis mówi, że dobrze.

Indyanin podniósł oczy na Hejwarda z widocznym natężeniem uwagi, lecz spotkawszy

(1) Wigwamy, mieszkania dzikich.

wzrok jego, odwrócił głowę w inną stronę, niedbale opuścił się na ziemię, otworzył łomoczek, wydobył trochę żywności, i rzucawszy na około baczne spojrzenie zaczął się posilać.

— O tak, to dobrze, — rzecze major; — Lis będzie miał siły i bystre oczy, do znalezienia drogi jutro rano. . . W tém posłyszawszy lekki szelest wzruszonych liści zamilkł trochę; lecz natychmiast przypominając potrzebę zajęcia uwagi dzikiego, dodał: — Trzeba nam będzie ruszyć z miejsca przed wschodem słońca, żeby Montkalm nie przeciął drogi do twierdzy.

Kiedy Hejward to mówił, ręka Magui bezwładnie opadła mu na udo, oczy utkwiły się w ziemię, głowa schylona na bok, została bez ruchu, zdawało się nawet że uszy podniosły się w górę; jedném słowem można go było wziąć za posąg wyrażający czujność.

Hejward postrzegłszy to, nieznacznie wyjął prawą nogę ze strzemienia, i zbliżył rękę

do olstrów pokrytych niedzwiedzią skórą, żeby wzięść pistolet; ale dziki, którego hystre oczy nie zatrzymując się na niczem, w jednej chwili widziały wszystko, uprzedził go, lekko i bez najmniejszego szelestu stawając na nogach. Hejward nie miał czasu wahać się dłużej i pewny że przemocą potrafi utrzymać zdradliwego Indyanina, szybko zsiadł z konia. Wszelako żeby go nie przepłoszyć, zachował jeszcze powierzchowność spokojną i pełną zaufania.

— Chytry Lis nie je, — rzecze pochlebając tém nazwiskiem próżności Indyanina. — Zapewne jego ziarno źle zgotowane? zdaje się że nadto suche. Czy mogę zobaczyć?

Magna podał mu tłumoczek i nawet bez najmniejszego wzruszenia pozwolił dotknąć się swojej ręki; ale kiedy poczuł że dłoń majora zaczęła posuwać się w górę po jego nagiem ramieniu, trącił go w brzuch z całej siły i skoczywszy przez wywróconego, trzema susami z przeraźliwym wrzaskiem wpadł

w gęstwinę lasu; W tejże chwili prawie, Szyngaszguk, bez najmniejszego szelestu ukazał się jak widmo i pobiegł za nim; głośny krzyk Unkasa oznajmił w przeciwnej stronie kędy zbieg ucieka; krótka błyskawica nagle las oświeciła, a huk tuż następujący po niej, dał poznać że strzelec użył swej rusznicy.

ROZDZIAŁ V.

Gdy lew trwożliwej Tyshe ukazał się we śnie,
 Ze go spotka na jawie, przeczuwała weześnie,
Szekspir.

NAGŁA ucieczka przewodnika, krzyk ściągających jego, raz świeżo odebrany, niespodziany huk wystrzału, to wszystko w takie osłupienie wprawilo majora Hejwarda, że przez kilka chwil stał jak wryty. Przypomniawszy jednak, ile zależało na tém, żeby pojmać zbiega, rzucił się za nim pomłędzy krzaki. Ale nim zdołał na trzysta kroków przedrzeć się w głąb lasu, spotkał trzech towarzyszków wracających już z daremnej pogoni.

— Dla czegoż zrażacie się tak prędko?

zawołał: łotr ten musiał gdziekolwiek ukryć się za drzewo, i możemy jeszcze go schwycić. Nie jesteśmy bezpieczni, póki on wolny.

— Pan chcesz żeby obłoki wiatr dognały? — odpowiedział strzelec z niechęcią. — Zaledwo posłyszałem, że zbójca nakształ czarnej żmii śliznie się po liściach, aż patrzę, już tę sosnę pomija: strzeliłem tylko na los szczęścia, i chybiłem. Ale gdyby i ktokolwiek inny, nie ja sam, teraz strzelał, powiedziałbym zawsze, że się dobrze złożył. Nikt mi nie zaprzeczy: mam wprawę i doświadczenie. Proszę spojrzeć na liście tego sumaku: wszakże czerwone, chociaż jeszcze nie pora im czerwienieć.

— To krew! krew Magui! Trafiony: może i upadł o kilka kroków dalej.

— Nie, nie, nie myśl Pan tak; drasnąłem go tylko i dla tego pobiegł jeszcze prędzej. Kiedy kula tylko rozdziera skórę, jest wtenczas tém, co ostroga dla konia; ale kiedy dostaje się do wnętrzości, każdy zwierz,

ezy to daniel, czy Indyanin, podskoczywszy kilka razy upaść musi.

— Ale dla czegoż nie mamy go ścigać dalej? Wszakże nas czterech, a on jeden i raniony.

— Czy się już Panu życ sprzykrzyło? to ten djabeł czerwony wprowadzi pana pod same tomahawki swoich towarzyszków, kiedy coraz bardziej zapalając się będziesz leciał za nim. Już i tak, jak na człowieka co usypiał nieraz, spodziewając się usłyszeć krzyk wojny, postąpiłem nierozważnie: huk broni ognistej może dać hasło zasadzkom ukrytym. Ależ bo pokusa była tak naturalna! — No, przyjaciele, nie dobrze bawić dłużej w tym ostępie, trzeba z niego tak wykluczyć, żeby najprzebieglejszy Mingo nie zawietrzył tropu; inaczej włosy nasze będą jutro powiewały na dworze przed obozem Montkalma.

Skoro strzelec, jako człowiek znający całą wielkość niebezpieczeństwa, lecz razem pełen odwagi potrzebnej do wydobycia się

z niego, dał tę straszną przestrożę; Hejwardowi zaraz przyszedł na myśl dwie piękne towarzyszki powierzone jego opiece i w nim tylko mogące pokładać nadzieję. Ozierając się na około i daremnie usiłując przeniknąć wzrokiem czarną ciemność lasu, z rozpaczą wyobrażał sobie, że dwie młode osoby, wszelkiej pomocy ludzkiej pozbawione, la-da chwila mogą być w ręku barbarzyńców, którzy sposobem zwierząt drapieżnych czekali nocy, żeby tém pewniejszy i bardziej niebezpieczny cios swej zdobyczy zadać. Z rozpaloną wyobraźnią, patrząc na okryte zwodniczym mrokiem przedmioty, nie raz krzak kołysany wiatrem, lub drzewo zwałone wichrem, brał za straszliwe widma. Wielekroć zdawało mu się, że z pomiędzy gałęzi wyglądają szkaradne twarze Indyan sledzących każdy krok podróźnych.

Już kilka obłoczków nad puszcza zrumienionych ostatnim promieniem słońca, zaczynało tracić szkarłatną swą barwę, a u stop

wzgórka przez to tylko można było rozróżnić rzekę, że słaby blask jej powierzchni odznaczał się szród gęszczy lasów czerniejących po obu brzegach.

— Cóż teraz począć? — zawołał major nie mogąc oprzeć się dręczącej niespokojności. — Nie opuszczajcie mię na miłość Boga! ratujcie nieszczęśliwe kobiety, i jaką chcecie sami naznaczcie za to nagrodę.

Trzej towarzysze zajęci cichą, lecz żwąwą rozmową między sobą, nie zwrócili uwagi na tę nagłą i gorącą prośbę. Hejward zbliżył się do nich, i trafił na tę chwilę kiedy młodzieniec stale i z zapalem zbijał zdanie ojca spokojniejszym wyrzeczone głosem; ale ponieważ mówili po indyjsku, domyślił się tylko, że chodziło coś o podróżnych. Niemogąc znieść dolegliwej zwłoki w ratowaniu wystawionych na niebezpieczeństwo kobiet, chciał znowu powtórzyć obietnicę hojnej nagrody, ale w tém strzelec skinąwszy ręką jakby na znak, że

odstępuje swego zdania, odezwał się po angielsku niby sam do siebie.

— Unkas ma słuszość. Byłoby hańbą dla mężczyzn, zostawić bez obrony dwie biedne kobiety, chociażbyśmy przez to na zawsze mieli utracić schronienie. Panie majorze, — dodał obracając się do Hejwarda, — jeżeli Pan chcesz zasłonić te młode pączki od najstraszniejszej burzy, nie mamy ani chwili do stracenia i trzeba odważyć się na wszystko.

— Nie powinieneś wątpić o mojej odwadze, a co do nagrody jużem ofiarował...

— Ofiaruj Pan modlitwy Bogu, bo on sam tylko może wesprzeć nasz rozum, żebyśmy potrafili oszukać chytrych szatańów kryjących się w tym lesie; ale nie wyjeżdżaj z swojemi ofiarami pieniędzy. Może wszyscy nie dożyjemy tego czasu, kiedybyś Pan mógł uskutecznić swoje obietnice, a my z nich korzystać. Ja i ci dwaj Mohikanie uczynimy wszystko, co człowiek uczynić może

dla ocalenia tych delikatnych kwiatków, nie do pustyni stworzonych. Będziemy ich bronili bez nadziei innej nagrody, jak tylko tej, co Bóg za dobre uczynki obiecał. Ale naprzód musisz Pan, tak od siebie, jak od swoich przyjaciół, przyrzec nam dwie rzeczy; bo możebyśmy chcąc usłużyć Państwu, tylko samym sobie zaszkodzili.

— Jakież to, te dwie rzeczy?

— Pierwsza, milczeć jak te lasy, cokolwiekby się zdarzyło; druga, nigdy nie wydać nikomu miejsca, gdzie Państwo zaprowadzimy.

— Zgoda, i ile w mojej mocy będę się starał, żeby moi towarzysze odpowiedzieli tym warunkom.

— Kiedy tak, proszę za mną, bo tracimy czas równie nam drogi, jak strzelonemu danielowi krew płynąca z rany.

Mimo ciemność nocy, Hejward postrzegłszy niecierpliwe skinienia strzelca nagłym krokiem ruszającego z miejsca, pośpieszył za

nim, i kiedy wyszli na ścieszkę, gdzie kobiety czekały równie z niecierpliwością jak obawą, doniósł im pokrótce o warunkach ułożonych przez nowego przewodnika, wystawując przy tem potrzebę milczenia i baczności, żeby w razie nagłego przestachu nie wydać najmniejszego głosu.

Przestroga ta sama przez się zdolna byłaby zatrwożyć lękliwe kobiety, gdyby mężna ufność Hejwarda i może sam rodzaj niebezpieczeństwa nie dodały im odwagi. Usposobione zatem, przynajmniej jak same sądziły, do wytrzymania niespodzianych doświadczeń, na jakie co chwila narażone być mogły, bez najmniejszej odpowiedzi, bez najmniejszej zwłoki pozskakiwały z siodeł i kiedy Hejward prowadził lozne konie, spokojnie szły obok niego aż do brzegu rzeki, gdzie już strzelec z Mohikanami i śpiewakiem psalmów, czekał na nich.

— Cóż teraz zrobić z temi stworzeniami, niememi? — zapytał strzelec, który jak się

zdawało, sam jeden przyjął obowiązek kierować całą gromadą. — Pozarzynać je i porzucić do rzeki, nie mało jeszcze zajęłoby czasu; zostawić tutaj, byłoby to oznajmić Mingom, że i Panów nie daleko mają szukać.

— Zarzucić im cugle na karki i przepędź w las, — rzecze major.

— Nie, lepiej zamydlić oczy tym zbrojcom i dać niby do zrozumienia, że jeżeli chcą dognać swą zdobycz muszą biec tak prędko jak konie. Ach Szyngaszguk! coż tam słyszę w krzakach?

— To te licho, zrzedzę przybiega.

— Trzeba żeby nie biegało więcej, — rzecze strzelec chwytając je za grzywę, i gdy się mu wymknęło, — Unkas, — zawołał — puść strzałę!

— Poczekaj! — krzyknął z całej siły właściciel skazanego na śmierć zrzedzicia, niezważając bynajmniej że inni starali się mówić jak najciszej. — Zostaw w życiu płód mojej Miriam; jest to piękny owoc wiernej

matki i nikomu dobrowolnie nic złego nie zrobi.

— Kiedy ludziom chodzi o życie dane im od Boga, natenczas i krew bliźnich tyle u nich znaczy, co krew zwierząt dzikich; a zatem jeżeli odezwiesz się jeszcze choć z jednym słowem, zostawię WPana Makwom — Puszczaj strzałę, Unkas, tylko weź dobrze; nie mamy czasu poprawiać drugą.

Nim wymówił te słowa, już ugodzone zrębień wspięło się słupem i padłszy na przednie kolana próżno usiłowało powstać. W tém prędki jak myśl Szyngaszguk, pociągnął mu nożem po gardle i chwyciwszy oburącz, rzucił do rzeki.

Czyn ten okrótny na pozor, lecz istotnie potrzebny, najlepiej dał poznać wędrowcom stopień grożącego niebezpieczeństwa, a niezachwiana obojętność jego sprawców, nową przejęła ich trwogą. Drżące dwie siostry tuliły się jedna do drugiej, a Hejward prawie mimowolnie sięgnął ręką do pasa, gdzie

zsiadając z konia pozakładał pistolety, i przedzielił kobiety od cieniów, nakształt grubej zasłony powlekających wewnątrz puszczy.

Indyanie nie tracąc ani momentu, wzięli konie za cugle i gwałtem wprowadzili do rzeki. Odszedłszy potem od brzegu zwrócili się w stronę i brnąc przeciw wody wkrótce znikli za krętym wybrzeżem.

Strzelec tymczasem, z pod gałęzi krzaku w kształcie sklepienia szeroko rozestanych nad wodą, wy dobył łodkę z kory zrobioną i dał znak kobietom żeby w nią wstąpiły.

Kiedy Kora i Alina uczyniły to w milczeniu, oglądając się tylko z przestraczem na puszcze, jak czarna ściana ciągnącą się po za brzegu; strzelec dał znak majorowi, żeby podobnie jak on wszedłszy do rzeki, pomógł mu chybkie czołenko pchnąć przeciw wody. Zmartwiony właściciel zabitego zrębięcia udał się za nimi. Tak szli czas niejakiś w milczeniu, przerywaném tylko szmerem wody i lekkim szelestem łodki prze-

ryznaiącej fale. Major ślepo był posłuszny skieniom przewodnika, a ten raz zbliżał się, drugi raz oddalał się od brzegu, w miarę jak chciał uniknąć miejsc nadto płytkich dla człowieka, lub nadto głębokich dla człowieka; często zatrzymując się szród martwej ciszy, której jeszcze większą wspaniałość nadawał co raz bliższy łoskot wodospadu, słuchał z napięciem, czy jakikolwiek głos nie wychodzi z uśpionych lasów. Kiedy wprawne jego zmysły zapewniły, że wszystko spokojne i żaden znak nie zapowiada zbliżania się groźących nieprzyjaciół, poweli i ostrożnie w dalszą puszczał się drogę.

Przybyli wreszcie na miejsce, skąd baczne oko majora postrzegło kilka czarnych przedmiotów na wierzchołku tak wzniosłego brzegu, że w jego cieniu niknęła rzeka. Nie wiedząc czy miał postępować dalej, wskazał towarzyszowi palcem powod swojej trwogi.

— Widzę, widzę, spokojnie odpowiedział strzelec; Indyanie z wrodzoną sobie

roztropnością ukryli konie. Na wodzie nie zostają ślady, a ciemność tej jaskini oślepiłaby i sowę.

Wkrótce przybrnęli tutaj. Strzelec znalazłszy Mohikanów, znowu zaczął z nimi się naradzać; a tymczasem ci, których los zależał od dobrej wiary i roztropności tych mieszkańców lasu, mieli porę przypatrzeć się bliżej swemu stanowisku.

Zwężona tu rzeka cisnęła się między dwie tak strome skały, że wierzchołek jednej wychylał się aż nad łodkę podróżnych, ponieważ zaś zbliżone ich grzbiety łączyły rozłożyste drzewa; płynęła jak pod sklepieniem jakim. Cały ten wąwóz nieprzenikniona nappełniała ciemność: w górze przebijał się tylko między gałęzmi nocny błękit nieba, z tyłu kręte wybrzeże zamykało widok, a z przodu i jak się zdawało dosyć blisko, woda spadając jakby z obłoków chłoneła się w przepaść z rykiem daleko rozlegającym się po lasach. W tej ustroni na

samotność i schronienie przeznaczonej, o-
bie siostry przypatrując się malowniczym,
choć dzikim pięknościom natury, ode-
tchnęły wolniej i zaczęły mniej lękać się
o siebie.

Konie przywiązano do drzew wyrasta-
jących z rozpadlin skały i zostawiono na ca-
łą noc po kolana w wodzie. Czynne krzą-
tanie się przewodników nie pozwoliło wę-
drowcom nasycać się dłużej wdziękami u-
stronia i nocy. Strzelec umieściwszy Hej-
warda, jego towarzyszki i śpiewaka na je-
dnym końcu łodki, sam usiadł na drugim
tak śmiało, jak gdyby to był pokład lini-
jowego okrętu, i kiedy Indyanie przepro-
wadzający podróźnych do czołna odeszli
wparłszy długą tyczynę w głaz najbliższy,
z wielkim pędem wąty statek wypchnął aż
na śrzodek rzeki. Walka chybkiej łodki
przeciw nagłemu biegowi nurtów długo
była wątpliwa. Podróżni mając zalecenie
nie zmieniać miejsca i siedzieć jak najspo-

kojniej, ponieważ najmniejszy ruch mógł przewrócić czołno, za ledwo oddychać śmie-
li i ze drzeniem poglądali na groźne głębi-
nie. Nie raz zdawało się im, że już toną,
ale zręczność wprawnego sternika zawsze
odnosiła zwycięstwo. W chwili kiedy Ali-
na sądząc że wir szumiący pod wodospa-
dem ma ich pochłonąć z przestrachu zasło-
niła oczy; kiedy obie siostry myślały że sam
strzelec zwątpił i w rozpacz ostatnich sił
dobywał, potężny zamach wiosła położył
koniec tej trudnej żegludze i łódka stanę-
ła u skalistej płaszczyzny ledwo na dwa
cale wzniesionej nad powierzchnię wody.

— Gdzież to jesteśmy i co pozostaje nam
zrobić teraz? — zapytał Hejward, widząc że
strzelec opuścił już wiosło i zatknął ty-
czybę.

— Jesteśmy u podnoża Glenu i pozo-
staje wysiadać tylko, — odpowiedział przewo-
źnik głośno, ponieważ wśród ryku spada-
jącej wody nie lękał się być słyszany

zdaleka; — ale trzeba wysiadać ostrożnie żeby nie przechylić łodki, bo moglibyście Państwo taż samą drogą, daleko prędzej choć nie tak wygodnie powrócić nazad. Kiedy rzeka wezbrana, ciężko płynąć przeciw wody, a pięć osob to zanadto na lichą łodkę skleconą z kory i żywicy. No, proszę wychodzić na skałę, a ja pojedę po Mohikanow i daniela: nie zapomnieli oni jego zarzucić na konia; pościć wśród dostatku, byłoby toż samo co swoje włosy pod noż Miugów oddać.

Podróżni nie czekali powtórzenia rozkazu i za ledwo ostatnia noga stanęła na ska-
le, łodka uleciała szybkością strzały. Przez chwilę, widna jeszcze była wysoka postać strzelca, jakby śliznąca się po wodzie i zaraz znikła w ciemności.

Pozbawieni przewodnika wędrowcy niewiedzieli co począć. Słyszając po obu stronach łoskot wody walącej się w otchłanie, lękali się dać jednego kroku, żeby gdzie

w pociemku nie trafić na urwisko, lub nie pomknąć się w przepaść. Ale oczekiwanie ich nie było długie: przy pomocy Mohikanow strzelec z łodką ukazał się już na powrót u skalistej płaszczyzny, kiedy major mniemał, że jeszcze do swoich towarzyszków nie dopłynął.

— Otóż jesteśmy w twierdzy z dobrą osadą i zapasem żywności, — zawołał Hejward tonem zagrzewającym; — niedbamy teraz o Montkalma i o sprzymierzeńców jego. Powiedz mi waleczny mój obrońco, czy możesz ztąd usłyszeć lub zobaczyć choć jednego z tych, których nazywasz Irokanami?

— Nazywam ich Irokanami, bo każdy dziki który mówi językiem obcym, bez względu czy służy królowi, czy nie, jest u mnie nieprzyjacielem. Jeżeli Web szuka niezciwości i dobrej wiary w Indyanach, niech przywoła pokolenie Delawarów, a tych łupieżnych Mohawków, przewrotnych Onejdów i wszystkie sześć łatrow-

skich narodów, niech przepędzi w głąb Kanady, gdzieby ci zbójcy zawsze przebywać powinni.

— Byłoby to zamienić przyjaciół bitnych, na sprzymierzeńców nieuzytecznych. Słyszałem że Delawarowie złożyli tomahawk i pozwolili nazywać siebie babami.

— Tak, na hańbę wieczną Holendrów i Irokanów, którzy przez jakąś moc szatańską potrafili ich do tego traktatu skłonić! Ale ja znam ich od lat dwudziestu, i ktokolwiek powie, że w żyłach Delawara podła krew płynie, nazwę go kłamcą. Odegnawszy wilczym prawem lud ten od brzegów morza, musicie zapewne wierzyć temu, co ich nieprzyjaciele mówią, żeby zagłuszyć wasze sumnienie i usypiać spokojnie. — Tak jest, tak, każdy Indyanin, który nie mówi językiem Delawarów, jest u mnie Irokanem, bez względu, czy jego rodzina w Jorku czy w Kanadzie mieszka.

Major uważając, że nie zachwiane przy-

wiązanie strzelca do sprawy jego przyjaciół Delawarów, czyli Mohikanów, gdyż oba te pokolenia były gałęzmi jednego szczepu, mogłoby przedłużyć spór nieużyteczny, zrećznie zmienił przedmiot rozmowy.

— Nie wiem, — rzecze, — czy jaki traktat w tej mierze nastąpił, lub nie; ale to pewna tylko, że ci dwaj towarzysze twoi są równie mężni jak przezorni. Może więc oni słyszeli albo widzieli którego z naszych nieprzyjaciół?

— Indyanin jest taki człowiek, że wprzód go poczujesz niż zobaczysz, — odpowiedział strzelec, niedbale rzucając z plec daniela; — kiedy powiadam, że Mingowie są blisko, to pewno nie na mocy tych znaków; jakie oczyma postrzedz można.

— Na mocy czegoż więc sądzisz, że odkryli oni nasze schronienie?

— Niech Bóg nas strzeże od tego, chociaż jesteśmy w miejscu gdzie można porządny ogień wytrzymać. Muszę powie-

dzieć jednak, że kiedy przepływałem blisko koni, drżały na ten czas, jak gdyby wilka czuły; a wilki często włóczą się za kupą Indyan w nadziei pożywienia się odpadkami danielów upolowanych przez dzikich.

— Ale i tego, co tu u nóg leży, również wilki zawietrzyć mogły. Zapominasz przytém o zrzebięciu zabitem.

— Biedna Miriam! — zawołał żałośnie nautyciel śpiewania, — dziecię twoje było przeznaczone na pastwę zwierząt dzikich! — Podnosząc potém głos wśród łoskotu wody zaśpiewał następującą sztrefę:

W ciemności nocnej zstąpiwszy na ziemię

Wytępił wszelkie pierworodne plemię.

By cud ten straszny i nowy

Nachylił harde Egypcyan głowy.

— Śmierć zrzebięcia cięży mu na sercu,
— rzecz strzelec; — ale to dobry znak, kiedy
kto ma przywiązanie do swoich bydła.

Ponieważ jednak wierzy on w przeznaczenie, powinien myśleć, że co miało być, to się i stało; a tą uwagą pocieszony, przekona się, iż słusznie odebrać życie stworzeniu niememu, dla ocalenia istot rozumnych. Co zaś pan mówiłeś o wilkach, to może być prawda, dla tegoż trzeba oprawić daniela czem prędzej i trzewie wrzucić do rzeki, bo inaczej to zaraz całe stado wilków zawyje na wierzchołku skały, jakby urzekając nam każdy kęs niesiony do gęby; a chociaż mowa Delawarów jest dla Irokanów księgą zamkniętą, przebiegłe łotry mają jednak dosyć zmyślności, żeby odgadnąć przyczynę wilczego wycia.

Tak rozprawiał strzelec cały zajęty przygotowaniem wszystkiego, co mu potrzebne było do oprawienia daniela. Skończywszy mówić porzucił podróżnych i oddalił się z dwoma Mohikanami, którzy, jak się zdawało, bez słownego tłumaczenia rozumieli jego myśli. Wszyscy trzej znikli kolejno,

jakby zapadając wewnątrz czarnej skały,
na kilka sążni wyniesionej nad poziom
wody.

ROZDZIAŁ VI.

„Wnet księgę świętych pieśni Syonu otwiera,
Biegle przerzuca karty, jeden hymn wybiera
I poważnie głos wznosząc śpiewa:— Chwalmy Pana!
Burns.”

HEWWARD i jego towarzyszek patrzyli na to zniknięcie tajemnicze z niespokojnością wewnętrzną; chociaż bowiem postępek białego nie dały im dotąd najmniejszego do powątpiewań powodu, jednakże prosty rynsztunek jego, ton rubasznosci śmiałej, wstręt widoczny do tego, co nienawidział, niewiadomy sposób myślenia dwóch towarzyszy milczących: to wszystko zdolne było obudzić podejrzenie w umysłach świeżo zatrwożonych zdradą przewodnika Indyanina.

Sam tylko nauczyciel śpiewu zdawał się obojętnym na wszystko co się koło niego działo. Usiadłszy na kawałku skały oddał się rozpaństwywaniu, jak z częstych westchnień wnieść można było, nie miłemu bardzo. Wkrótce dał się słyszeć szmer głuchy podobny do głosu kilku osób rozmawiających w głębi ziemi, a zaraz i blask nagły uderzając oczy podróżnych, odkrył im tajne kryjówki,

Pod skałą, w końcu głębokiej jaskini która patrzącym wciąż przy szczególnym sposobie oświecenia wydawała się jeszcze dłuższą, siedział strzelec z zapaloną gałęzią sosnową w ręku. Moeny blask padając prosto na jego twarz ogorzała i ubior szczególniejszy, nadawał coś malowniczego widokowi człowieka, którego odzież nie zwykła, tęgość członków żelazna prawie, i rysy w dziwnej mieszaninie kolejno wyrażające rostopność, czujność i prostactwo, przy świetle dnia nawet, zwróciłyby oczy,

Na kilka kroków przed nim stał Unkas, a bliskość i położenie pozwalały przypatrzeć mu się dokładnie. Podróżni z upodobaniem rozważali prostą i wysmukłą postać młodego Mohikana, we wszystkich poruszeniach i ujęciach mającą wdzięk naturalny. Ciało jego bardziej niż zazwyczaj było okryte odzieniem myśliwskim. W czarnych oczach obok blasku odwagi i dumy jaśniała spokojność i słodycz. Kształtne rysy twarzy ukazywały w całej czystości czerwoną farbę jego pokolenia. Wyniosłe czoło pełne było godności a na szlachetnej głowie wznosił się tylko ten pukiel włosów, który dzicy przez męstwo zachowują jakby dla pokazania, że nieprzyjaciel próżnoby usiłował go zedrzeć.

Dopiero raz pierwszy Dulkan Hejward i jego towarzyski mieli czas wolny przypatrzeć się wybitnym rysom jednego z Indian napotkanych tak szczęśliwym trafem; a wyczytując na twarzy młodego Mohikana

dumę i odwagę, lecz razem otwartość i szczerłość, poczuli ulgę w niespokojności, tyle ich dręczącej. Znali oni, że jeżeli mają przed sobą człowieka pogrążonego w ciemnocie, to przynajmniej nie przebiegłego wiarołomcę, ze skłonności szukającego zdrady. Dziecina Alina patrzyła na niego z takim podziwieniem, jak na grecki lub rzymski posąg ożywiony cudem. Hejward chociaż nawykły często widywać doskonałość kształtów w dzikich nieskażonych zepsuciem, wyraźnie jednak okazał zadowolenie.

— Spodziewam się, — odpowiedziała mu Alina, — spokojnie zasnąć pod strażą tak szlachetnego i męznego jakim pewno będzie ten młodzieniec. Bez wątpienia Dunkanie, owe zabójstwa barbarzyńskie, owe tortury straszliwe, o których słyzałyśmy i czytałyśmy tyle przerażających doniesień, nie dzieją się nigdy w obecności takich, jak on ludzi.

— Zapewne, jestto rzadki zbiór przymio-

tów właściwych dzikim i ja podobnież mniemam że to czoło, te oczy, stworzone są raczej na postrach nieprzyjaciół, niż uwiedzenie ofiar. Ale nie uwodźmy sami siebie spodziewając się po tych ludziach cnot innych nad te, jakie dzicy posiadać mogą. Świetne przykłady przymiotów wielkich rzadkie są u chrześcian, a jakże u Indyan mogą być częste? Wierzmy jednak dla zaszczytu natury ludzkiej, że i między niemi zdarzają się czasem; że ten młody Mohikanie zawiedzie naszego przeczucia, i że będzie dla nas tem wszystkiem, co powierzchowność jego obiecuje, to jest walecznym i wiernym przyjacielem.

—Tak mówić na majora Hejwarda przysłało,— rzecze Kora.— Widząc to dziecko przyrodzenia, któżby się jeszcze zastanawiał jaka farba jego skóry?

Chwilowe milczenie nastąpiło po tej znaczącej uwadze. Przerwał je strzelec woła-

jąc głośno na podróżnych żeby weszli do jaskini.

— Ogień nadto zaczyna dawać blasku, — rzecze do nich skoro weszli, — i mógłby Mingów w ślad za nami sprowadzić. Unkas, spuść zasłonę niech te łotry tylko wszystko czarno widzą. Nie będziemy mieli takiej wieczerzy, jakiejby major amerykańów królewskich, spodziewać się miał prawo, ale ja widziałem jak całe oddziały tego wojska bardzo były rade kiedy mogły dostać kawał zwierzyny zupełnie surowej i bez żadnej przyprawy. Tu przynajmniej mamy podostatek soli i ogień, który nam zaraz zrobi wyborne pieczyste. Oto kupa szafranowych gałęzi: niech damy usiądą na niej. Nie jest to siedzenie tak wystawne, jak ich mahoniowe krzesła, nie ma na niem sprężysto pikowanych poduszek, ale za to wydaje zapach lekki i przyjemny. — No przyjacielu nie myśl już o zrzebięciu. Biedne stworzenie wprowadzie nie szkodziło nikomu, ale mo-

gło nam zaszkodzić. Zresztą, cóż mu śmierć uczyniła złego, uwolniła tylko od bied i trudów przyszłych.

Unkas wypełnił dany sobie rozkaz, i kiedy Sokole Oko przestał mówić, nic już nie było słychać prócz szumu katarakty, podobnego do oddalonego grzmotu.

— Czy jesteśmy bezpieczni w tej jaskini? — zapytał Hejward. — Nie powinniśmy się obawiać jakiego podjęcia? jeden człowiek zbrojny zastąpiwszy od wchodu, miałby nas wszystkich w swojej mocy.

Wysoka postać podobna do upiora wyszła z ciemnego końca lochu, stanęła za strzelcem i wzięwszy z ogniska rozżarzoną głównię podniosła w górę, jakby chcąc oświecić głąb jaskini. Na to zjawisko Alina krzyknęła z przestachu, i Kora nawet szybko stanęła na nogach, lecz Hejward jednym uspokoił je słowem, powiadając że to był ich przyjaciel Szyngaszguk. Indyanin odkrył inną zastonę i ukazał że jaskinia miała

drugi otwór; wyszedłszy po tém ze swoją pochodnią, przeszedł wydrążenie, można powiedzieć rozpadlinę skały, pod kątem prostym zetkniętą z grotą gdzie się schronili, lecz bez innej pokrywy prócz sklepienia niebios, i prowadzącą do podobnej jak pierwsza pieczary

— Starych jak ja i Szyngaszguk lisów, nie złapać w nórze o jednym wyjściu, — śmiejąc się rzecze strzelec. — Możesz pan widzieć teraz, czy to miejsce dobre. Skała jest wapienna, a wiadomo wszystkim, kamień wapienny, miękki i gładki, tak że kiedy nie ma chróstu lub jedliny nie źle za poduszkę służy. Owoż wodospad był niegdyś o kilka staj od miejsca gdzie jesteśmy, a tu woda płynęła tak równo jak na całym Hudsonie. Ale czas, wielki niszczyiciel piękności, o czém te damy dowiedzą się w swojej porze, zmienił i to miejsce. Skały pełne są szczelin, kamień nie wszędzie jednostajnie twardy, i dla tego woda

przedarłszy się wewnątrz, porobiła jamy, zwróciła się na bok, utworzyła sobie nową drogę, i na dwa koryta rozdzielona spada bez ładu i kształtu.

— Na jakiejże części tych skał znajdujemy się teraz?

— Blisko tego miejsca, gdzie Opatrzność jak się zdaje, pierwiastkowe zakreśliła koryto, lecz buntownicze wody niechciały długo w niem zostawać, a widząc że skały po obu stronach były słabsze, rozpruły w nich nowe łożysko, i wyrywszy te dwie pieczary na schronienie dla nas, osuszyły śrzodek rzeki.

— Jesteśmy więc na wyśpie?

— Tak, i z obu stron mamy wodospad, a przed i za nami rzekę. Gdyby to we dnie, prosiłbym pana wstąpić na skałę, żebym pokazał dziwactwa wody: jak ona to się wznosi, to w przepaść leci; jak tu ledwo płynie, ówdzie tryska pędem; w jedném miejscu jak śnieg biała, w drugim zielona jak trawa; z tej strony wre w potokach

które zdaje się że ziemię wskrósć chcą rozdrzeć, z tamtej, mruczy strumykiem i żłośliwe zakręcając wiry draży kamienie jak gdyby to glina była. Przewrócił się cały porządek rzeki. O parę set sążni w górze płynie ona spokojnie, niby wierna dawnemu korytu, lecz wkrótce rozdzieliwszy wody, w lewo i prawo bije nadbrzeża; zdaje się nawet że się w tył oziera, jak gdyby z żalem opuszczając pustynie niechętnie szła łączyć się z wodami słonemi. Tak, tak Pani, pajęcza tkanina którą widzę na jej szyi, jest siecią rybacką w porównaniu tych delikatnych żyłek jakie rzeka gdzie nie gdzie rysuje na piasku, jak gdyby zrzucałszy jarzmo, chciała spróbować każdego rzemiosła. I cóż jej z tego po tém? Zaledwo nakształt krnąbrnego dziecka dogodzi na chwilę swoim kaprysom, znaglona tą samą ręką co ją stworzyła, zbiera swe wody i musi spokojnie nikuąć w morzu, gdzie jej od wieków ginąć przeznaczono.

Chociaż podróżni z przyjemnością słuchali tego opisu uczynionego po prostu, a razem upewniającego że się znajdowali w bezpiecznem schronieniu, nie byli jednak skłonni równie korzystnie jak Sokole Oko oceniać powabów jaskini. Samo położenie zresztą niepozwalało im zgłębiać wszystkich przyrodzonych piękności tego miejsca, i wcale byli radzi, gdy strzelec w ciągu opowiadania, tyle tylko przerywając swoją czynność kucharską, żeby złamanym widelcem który miał w ręku, pokazać im kierunek tej lub owej części wód buntowniczych, nagle zamknął swą mowę oznajmieniem że wieczerza już gotowa.

Cały dzień będąc bez żadnego posiłku, wędrowcy nasi czuli wielką jego potrzebę, i jakkolwiek wieczerza była prosta, wzięli się do niej ochoczo. Unkas przyjął na siebie staranie, aby damom dochodziło wszystko, i nadskakując im jak mógł, dziwnem połączeniem powagi i przymilenia bawił

majora, który wiedział że to było zupełnem wprowadzeniem nowości do zwyczajów indyjskich, niepozwalających wojownikowi upadlać się najmniejszą usługą domową, mianowicie dla kobiet. Ponieważ jednak i prawa gościnności święte były u nich, to zgwaltowanie zwyczajów narodowych, to zapomnienie godności męskiej, do żadnych objaśnień nie dało powodu.

Gdyby w tém towarzystwie znajdował się ktokolwiek; coby miał czas zbierać wzorki, mógłby postrzedz, że młody wódz indyjski nie zachowywał ściśle bezstronności w oddawaniu usług dwóm siostrom. Podawał wprawdzie Alinie z przyzwoitą grzecznością kubek tykwowy pełny przezroczystej wody, lub zraz zwierzyny na talerzu drewnianym gładkiej roboty; lecz kiedy też same względy odbierała Kora, w jej twarz znaczącą z taką słodyczą wlepiły się czarne jego oczy, że promień dumy ciągle w nich błyszczący zniknął zupełnie. Raz lub

dwa razy wypadło mu przemówić żeby zwrócić uwagę pań którym służył. Odezwał się złą w prawdzie ale dosyć zrozumiałą angielszczyzną i tym głosem, któremu gardłowe wymawianie taką nadawało słodycz, że obie siostry poglądały na niego z ciekawością i podziwieniem. (*) Kilka słów zamienionych podczas przyjęcia i oddawania tych usług, zbliżyło obie strony do znajomości, mającej pozor dawnej przyjaźni.

Ale powaga Szyngaszguka była nie zachwiana. Siedział on najbliżej ognia i podróżni często rzucając na niego spojrzenia niespokojne, mogli rozpoznać naturalny wyraz twarzy wsrzód dziwacznych mało widel krzyżujących się na niej. Mimo różnicę wieku i poniesionych trudów, uderzyło ich podobieństwo ojca z synem. Zdawało się, że

(*) W mowie Indyan zmiana głosu najwięcej nadaje znaczenia wyrazom.

(Nota autora).

duma zwykle panująca na jego czole ustąpiła teraz miejsca tej spokojności ociężałej, jakiej się oddaje wojownik indyjski, skoro już żaden powód mocy jego do działania niewyzywa. Z chwilowych jednak wzruszeń ukazujących się w nim kiedy niekiedy, łatwo miarkować można było, że za najmniejszym oburzeniem namiętności, owe ry- sy, któremi dla postrachu nieprzyjaciół twarz namazał, uczyniłyby cały swój skutek.

Przeciwnie, czujne i ruchawe oko strzel- cę nie spoczywało ani na chwilę. Zajadał on wprawdzie tak smaczno, jak gdyby żadna nie trwożyła go obawa, lecz właściwa mu ostrożność wydawała się zawsze. Nie raz tykwa lub kęś zwierzyny zostały zawieszo- ne przed jego ustami, kiedy schyliwszy gło- wę na bok, nadstawiał ucha jakby słucho- jąc czy jakikolwiek głos obcy nie miesza się z szumem wodospadu. Poruszenie to za- wsze boleśnie przypominało wędrowcom na- szym wątpliwość ich losu i czyniło mniej

bacznemi na osobliwości miejsca gdzie potrzeba zmusiła szukać przytułku. Ponieważ jednak w końcu tych przerw częstych, żadna nie następowała uwaga, niespokojność zrodzona przez nie, niknęła zaraz.

— No przyjacielu! — rzecze Sokole Oko wyciągając z pod liści nie wielką beczułkę i obracając się do śpiewaka, który siedząc przy nim, oddawał zupełną sprawiedliwość jego umiejętności kucharskiej; — skosztuj mojego piwa jałowcowego; wybije ci ono przynajmniej z głowy to nieszczęśliwe zrzednięcie i umorzy troski. Do WPana, niech żyje lepsza między nami przyjaźń; spodziewam się że za lada potomstwo końskie nie poróżniemy się z sobą. Jak się nazywasz?

— Gamma, Dawid Gamma, — odpowiedział psalmista, machinalnie otarłszy wprzód sobie gębę wierzchem ręki, żeby przygotować się do utopienia trosków w trunku, którym miał być poczęstowany.

— Bardzo piękne nazwisko, — rzecze strze-

lec wychyliwszy tykwę piwa swojej roboty i smakując z tą roskoszą, jakiej doświadcza ten, co się rozpływa nad własnem dziełem: — jestem pewien że otrzymałeś je po czci godnych przodkach. Mam ja szczególne poszanowanie dla nazwisk, chociaż zwyczaj w tym względzie u białych, wcale nie ma tej wagi co u dzikich. Największy tchorz jakiego tylko znałem w osadach, nazywał się Lew, a jego żona tak kłótniwa, że uciekałbyś od niej prędzej niż daniel przed psiarnią, miała imie Cierpliwość. U Indyan zaś przeciwnie, nazwisko daje się sumiennie i w powszechności pokazuje czém jest ten, co je nosi. Szyngaszguk naprzykład, znaczy wąż wielki, nie dla tego, żeby on w istocie był wielkim czy małym wężem, ale że zna wszystkie kryjówki serc ludzkich, umie roztropnie zachowywać milczenie, i uderza na nieprzyjaciela wtenczas, kiedy się ten najmniej spodziewa tego. A WPana jakie rzemiosło?

— Jestem niegodny nauczyciel śpiewania psalmów.

— Jak powiadasz ?

— Uczę śpiewać młodych konskrypcyonistów Konektykuckich.

— Mógłbyś przydać się na cokolwiek lepszego mój Panie. Te psięta i tak już nadto głośno chychoczą i wyspiewują po lasach, gdzie nawet oddychać powinnyby ciszej niżeli lis w norze. Czy umiesz strzelbę wziąć w rękę?

— Dzięki Bogu, nigdy nie miałem potrzeby brać się za to narzędzie zabójcze.

— To zapewne znasz rysunek, umiesz oznaczać na papierze rzeki i góry w pustyniach, żeby ci co ciągną za woyskiem, postrzegłszy je mogli poznać zaraz?

— Nie trudnię się niczém podobném.

— Przy takich nogach najdłuższa droga zapewne wydaje się W Panu krótka. Sądzę, że czasami musisz być posyłany z rozkazami Jenerała.

— Nie; zajmuję się tylko mojem powoła-

niem; które jest dawać lekcye muzyki kościelnej.

— Szczególniejsze powołanie! całe życie nie więcej nie robić, tylko jak ów ptak przedrzeźniacz (1) naśladować wszystkie głosy eieńkie i grube, jakie gardło ludzkie wydać może; wszakże tak przyjacielu, mnie się zdaje że tą zdolnością jesteś obdarzony? szkoda że nie lepszą, gdybyś mógł byś być dobrym strzelcem, naprzykład. No, ale obaczmy, pokaż nam próbę swojego talentu, będzie to razem sposób przyjacielski oddania nam dobrej nocy; czas już żeby te damy udały się na spoczynek dla nabrania sił do jutrzejszej podróży; bo trzeba będzie wyjechać bardzo rano, wprzód nim Makwy ruszać się zaczną.

— Najchętniej przystaję na to, — odpowiedział Dawid, osadzając na nosie okulary w żelazo oprawne i wydobywając z kieszeni

(1) *ob.* Zoologiją Jarockiego.

nieocenioną swą książeczkę.—Cóż może być przyzwoitszego i bardziej pocieszającego ; — dodał obracając się do Aliny,— jak odśpiewać modlitwy wieczorne po dniu tak pełnym niebezpieczeństwa? Może i pani raczysz mi pomodź?

Alina uśmiechnęła się i spojrzała na Hejwarda z zapłonieniem, sama nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Dla czego nie ? — rzecze jej major z cicha, — imiennik króla proroka, bardzo dobrze radzi w tym razie.

Ośmielona temi słowy a razem pobudzona przez pobożność, miłość muzyki i własną ochotę, Alina przyjęła zaprosiny Dawida. Otworzono książkę w miejscu gdzie hymn dosyć był stosowny do obecnego położenia podróżnych, a poeta tłumacz przestając tylko na samem naśladowaniu natchnionego króla Izraelu, więcej oddał słuszności świetnej poezji koronowanego proroka. Kora oświadczyła się śpiewać z siostrą i kiedy me-

todyczny Dawid swoim zwyczajem przegrał na instrumencie dla dobrania tonu, zaczęto pieśń pobożną.

Nota jej przeciągła i uroczysta raz wznosiła się tak wysoko, jak tylko zdołał wystarczyć delikatny głos śpiewaczek, drugi raz zniżala się tak dalece, że szmer wody wydawał się harmonijnym towarzyszeniem. Smak wrodzony i dobre ucho Dawida rządząc głosem zmiarkowały go stosownie do miejsca w którym śpiewauo, i nigdy dźwięk czystszy nie rozlegał się w tych rozpadlinach skały. Indianie bez ruchu z wlepionymi oczyma słuchali tak pilnie, iż zdawało się że wyteżenie uwagi zmieniło ich w posągi kamienne. Strzelec oparty brodą na rękusiedział z początku w obojętnej postawie, lecz wkrótce opuściła go ta odrętwiałość. W miarę prześpiewanych wierszy odwalniały się skrzepłe rysy jego twarzy i w myśli odżywało wspomnienie dzieciństwa, kiedy podobne, chociaż daleko mniej.

miłym głosem śpiewane hymny słyszał w kościołach osad. Zwolna oczy jego zaczęły się zwilżać, a przed końcem pieśni bujne łąy strumieniem puściwszy się ze źródła, które zdawało się już oschłe na zawsze, płynęły po licach nawykłych tylko do kropel deszczowej wody.

Właśnie kiedy śpiew zniżał się na jeden z tych cichych i niejakoś konających tonów, które ucho z taką rokoszą chwytą, wrzask jakiś nie ludzki, nie ziemski, rozległszy się w powietrzu, przeniknął nie tylko głębie pieczary, lecz i serca zgromadzonych w niej osob. Martwa cichość nastąpiła po nim: zdawało się, że ten krzyk okropny i nadzwyczajny, zawiesił nawet spadające wody.

— Co to jest takiego? — przemówiła Ali-na po kilku chwilach oniemiała z przestraszu.

— Co to za wrzask? — zapytał Hejward półgłosem.

Ani strzelec, ani żaden z Indyan nic nie

odpowiedzieli jemu. Słuchali oni jeszcze jakby spodziewając się powtórzenia tego krzyku, a na ich twarzach malowało się zadziwienie którem sami przejęci byli. Nakoniec pomówili między sobą w języku Delawareów, i Unkas wyszedł przez otwór przeciwny temu, kędy podróżni weszli. Po jego wyjściu strzelec odpowiedział na zadane pytania.

— Co to jest, — rzecze, — lub coby byź mogło, tego nikt tu powiedzieć nie umie, chociaż Szyngaszguk i ja sam, trzydzieści lat chodzący po lasach. Sądziłem że nie masz żadnego głosu Indyanina albo dzikiego zwierza, którego bym na własne nie słyszał uszy, lecz poznaję teraz że byłem zarozumiałym i próżnym.

— Czy nie jest to ten okrzyk, który dżicy wydają kiedy chcą nieprzyjaciół przerazić? — zapytała Kora poprawując na głowie zasłonę ze spokojnością, jakiej nie dzieliła jej siostra.

— Nie, nie, — odpowiedział strzelec, — był to wrzask straszliwy, okropny, mający coś nadprzyrodzonego; okrzyk zaś wojenny jeżeli kto raz usłyszy, nie mylnie pozna go zawsze. — W tém postrzegłszy wchodzącego młodego wodza, — A có? — dodał, jego mową, — co widziałeś? Czy świeci przez zasłonę nasz ogień?

Krótką i wtymże samym języku odpowiedź zdawała się dostateczną.

— Nie widać nic ze wewnątrz, — rzecze Sokole Oko, z nieukontentowaniem wzruszając głową. — Blask co tu świeci nie może nas zdradzać. Kto czuje potrzebę spoczynku niech przejdzie do drugiej jaskini i stara się zasnąć, bo trzeba nam będzie wstać przed wschodem słońca i starać się przybydź do twierdzy Edwarda, nim Mingowie przetną sobie oczy.

Kora powstając zaraz, dała przykład swojej siostrze. Alina nie ociągała się jej towarzyszyć i wychodząc prosiła majora poci-

chu żeby udał się z niemi. Unkas otwierając im wyjście, podniósł zasłonę, a kiedy obróciły się podziękować jemu za tę grzeczność, ujrzały strzelca siedzącego przed gasnącém żarzyskiem, z czołem opartem między dwie dłonie, tak iż można było poznać, że się zastanawiał nad tym 'niepojętym krzykiem, co niespodzianie przerwał im modlitwy wieczorne.

Hejward wziął zapaloną gałąź sosnową, przez wązkie przejście wszedł do drugiej jaskini i utkwivszy ją w ten sposób, aby mogła palić się dalej, po raz pierwszy od wyjazdu z okopów twierdzy Edwarda, znalazł się sam na sam ze swojemi towarzyszami.

—Nie porzucaj nas Dunkanie,— rzecze A-lina.— Nie podobna żebyśmy w takim jak to miejscu o śnie pomyślały, kiedy ten krzyk straszliwy, jeszcze i teraz odzywa się nam w uszach.

—Obaczmy naprzód,— odpowiedział Hej-

ward, — czy jesteście bezpieczne w swojej warowni, a potem pomówiemy o reszcie.

Poszedł w koniec jaskini i znalazł podobne pierwszemu wyjście również zakryte zasłoną, a skoro ją podniósł obwiało go świeże i chłodne powietrze z nad wody. Bystra rzeka, wązkim lecz głębokim korytem wydrążonem przez się w skałach płynęła tu prawie pod nogami jego. Spienione nurty raz cofały się w biegu i wrzały na miejscu, drugi raz gwałtownie lecąc na przód, z szumem walały się z progu w przepaść ręką przyrodzenia utworzoną. Miejsce to obronne samo przez się, zdało mu się wolnem od wszelkiej obawy.

— Przyrodzenie utworzyło z tej strony nieprzebytą zaporę, — rzecze do towarzyszek przed spuszczeniem zasłony ukazując im ten widok wspaniały; — wiedząc za tem, że od wejścia bronią was wierne i waleczne straże, czemużbyście nie miały usłuchać rady dobrego gospodarza naszego? Kora pewno zgo-

dzi się ze mną, że sen potrzebny dla was obu.

— Kora może uznać tę radę za rozsądną, ale nie koniecznie potrafi podług niej postąpić, — odpowiedziała starsza, siadając obok Aliny na kupie szafranowych gałęzi i liści. — Gdyby nawet nie ten krzyk okropny, i tak już byłoby dosyć przyczyn do oddalenia snu od powick naszych. Zważ sam Hejwardzie, czy córki mogą zapomnieć o tém, jakiej niespokojności doświadczać musi ojciec, kiedy oczekiwane dzieci nocują nie wiedzieć gdzie, wśród dzikich lasów i niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju!

— Twój ojciec Koro, jest żołnierzem; wie on że zdarza się zbłądzić w puszczy.

— Ale zawsze jest ojcem, a przyrodzenie zawsze rozciąga swe prawa.

— Z jakimże pobłażaniem ulegał on wszystkim mym chęciom, wszystkim kaprysom, wszystkim głupstwom moim! — rzecze Alina ocierając oczy: — wielki nierozsądek z naszej strony moja siostrze, żeśmy się

w takim czasie naparły jechać do niego!

— Może bydz że postąpiłam nierozsądnie napierając się pozwolenia na to; ale chciałam mu pokazać, że kiedy inni go zaniedbują, dzieci przynajmniej zostały mu wierne.

— Skoro się dowiedział, — rzecze major, — żeście przybywały do twierdzy Edwarda, gwałtowna walka powstała w jego sercu między boiaźnią i miłością ojcowską; ale to ostatnie uczucie podniecone długim niewidzeniem rychło wzięło górę. Odwaga to mojej szlachetnej Kory sprowadza je tutaj, rzekł do mnie, nie chcę zawieść jej nadziei. Ohy niebo choć półowę tego męstwa udzieliło temu, co ma powierzona sławę naszego monarchy!

— A o mnie czy nie nie wspomniał, Hejwardzie? — odezwała się Alina, jakby przez zazdrość przywiązania. — Nie podobna żeby zapomniał o swojej, jak nazywa, malutkiej Alisi!

— Któżby wątpił o tém znając go dobrze, — odpowiedział major. — Wspominał, wspominał w najczulszych wyrazach i mówił wiele takich rzeczy, których nieśmiem powtórzyć, chociaż za najstuszniesze uważam. Powiedział mi jednego razu....

Duncan niemógł dokończyć, bo kiedy trzymał oczy wlepione w Alineę, która poglądała na niego z niecierpliwością przywiązania dziecinnego, lękając się stracić słówko, ten sam krzyk okropny, co ich przeraził wprzódy, rozległ się znowu. Kilka minut trwało milczenie przestradchu i wszyscy troje poglądali jedno na drugiego z niepokojnością oczekując powtórzenia się wrzasku. Nakoniec podniosła się zasłona przykrywająca pierwsze wnijsie i strzelec ukazał się z twarzą pomieszana, jak gdyby zaczynał upadać w duchu przed tajemnicą zwiastującą niebezpieczeństwa nie znane, które jego odwagę, doświadczenie i przemyśl zniweczyć mogły

ROZDZIAŁ VII.

„Czy sądzisz że się chwilom spoczynku oddają?
Nie, nie; przy tej tu skale ukryci czuwają.“

Gray.

— Ukrywać się dłużej kiedy taki głos słychać w lesie, — rzecze strzelec, — byłoby to nie zważać na ostrzeżenie zesłane dla dobra naszego. Te panienki mogą tu pozostać, lecz dwaj Mohikanie i ja wyjdziemy trzymać straż na skałach; spodziewam się że major sześćdziesiątego pólku zechce także pojsć z nami.

— Czyliż jesteśmy w niebezpieczeństwie tak nagłym? — zapytała Kora.

— Ten co stworzył głos tak dziwny i każe mu odzywać się na pożytek ludzki, ten tylko może wiedzieć jakie jest niebezpieczeństwo nasze. Co do mnie uważał-

bym siebie za nieposłusznego woli Nieba, gdybym siedział zagrzebany w jaskini, kiedy powietrze taką przestrogę przynosi. Ten niedołęga nawet co całe życie śpiewa tylko, wzruszył się tym głosem i powiada, że gotów stanąć do bitwy. Gdybyż to chodziło o bitwę, to nam wszystkim nie ho-wina i prędko poradzilibyśmy sobie, lecz powiadają, że kiedy taki krzyk rozchodzi się między niebem a ziemią, wcale inna to wojna.

— Jeżeli nie grożą nam niebezpieczeństwa inne prócz pochodzących z przyczyn nadprzyrodzonych; nie mamy się czego trwożyć, — rzecze Kora śmiała, — ale czy jesteś pewny, że nieprzyjaciele nasi nie wymyślili jakiego nowego sposobu, aby nas przerazić, i przeto zwycięstwo ułatwić sobie ?

— Pani, — odpowie strzelec tonem uroczy-
stym, — trzydzieści lat przysłuchiwałem się
wszystkim głosom jakie tylko w lasach u-
słyszeć można, a przysłuchiwałem się tak

pilnie, jak ten, czyje życie częstokroć polega na bystrości jego słuchu. Nie masz żadnego zawycia pantery, żadnego gwiźnienia przedrzeźniacza, żadnej szatańskiej sztuki Mingów, któreby mię oszukać potrafiły. Słyszałem jęk lasów podobny do jęku cierpiącego człowieka, słyszałem trzask piorunu walącego się w powietrzu jak cała puszca, kiedy połyskał widłowaty płomyk, a nigdy nie pomyślałem, żeby to było co innego, jak tylko to, co podobało się uczynić temu, który wszystko stworzone trzyma w swém ręku. Lecz ani Mohikanie, ani ja, człowiek biały bez najmniejszej krwi mieszaniny, nie możemy wytłumaczyć tego krzyku, co dopiero w tak krótkim czasie powtórzył się dwa razy. Sądziemy zatem, że to jest znak zesłany dla naszego dobra

— Rzecz dziwna! — zawołał major, biorąc pistolety z kąta jaskini, gdzie wszedłszy był je położył; — ale czy to jest znak pokoju czy hasło wojny, powinien zwrócić naszą uwa-

gę. Pokaż mi drogę przyjacielu, idę za tobą.

Kiedy wyszli z jaskini do wąwozu łączącego ją z drugą, orzeźwiła ich świeżość nadwodnego powietrza. Lekki wietrzyk marszczył powierzchnię rzeki i zdawało się że napędzał jej fale śpieszyć w przepaść, gdzie waliły się z rykiem grzmotu. Prócz tego hałasu i szelestu wietrzyka nic nie mieszało ciszy, jaką tylko noc i samotność rozciągnąć tu mogły. Wszedł xiężyc: blask jego padając na rzekę i lasy, podwajał ciemność miejsca na którym się zatrzymali u podnoża skały wznoszącej się za nimi. Próżno każdy z nich przy tём słabem świetle wodził oczyma po obu brzegach, chcąc odkryć jakikolwiek znak życia, coby im wytłumaczył naturę słyszanych głosów; zawiedziony wzrok ich spotykał tylko drzewa i skały.

— Nic nie widać prócz ciszy i spokojności wieczora, — rzecze major półgłosem. — Jakże ten widok wydałby się nam pięknym

w innym razie. Koro! wyobraź sobie że jesteś bezpieczna, a co teraz prawdziwie może powiększać twój przestach, nową sprawi ci przyjemność.

— Słuchajcie! — zawołała Alina. Wezwanie to było daremne. Wrzask ten sam co wprzód, wychodząc jak się zdawało z głębi wody, ze środka rzeki, rozległ się po okolicznych lasach i powtórzył się odbiciem o wszystkie skały.

— Jestże tu ktokolwiek, coby mógł powiedzieć jakie to głosy? — rzecze strzelec, — jeżeli jest niech powie, bo co ja, to sądzę że nie są ziemskie !

— Jest, jest ten, co może was wyprowadzić z błędu, — odpowiedział Hejward. — Poznaję już teraz dokładnie jakie to krzyki, słyszałem je nie raz na polu bitwy i w wielu innych zdarzeniach często przytrafiających się żołnierzowi: jestto okropny krzyk zdychającego konia: zwykle wydziera go boleść, ale czasem i strach zbyt czyny. Albo na mego

kònia napadł jaki zwierz drapieżny, albo on znajduje się w niebezpieczeństwie z którego wydobyć się nie ma sposobu. W jaskini nie mogłem poznać tego głosu; ale na otwartem powietrzu pewno się nie myłę.

Strzelec i jego dwaj towarzysze słuchali tego objaśnienia z ciekawością radośną, jakiej się doświadcza, kiedy nowe myśli rozpędzają dawne daleko mniej przyjemne. Obadwa dzicy wydali w swoim języku okrzyk podziwienia i radości, a Sokole Oko po chwili namysłu odpowiedział majorowi:

— Nie mogę zaprzeczyć temu co pan mówisz, bo nie wiele chodziłem koło koni, chociaż jest ich dosyć w kraju gdzie się urodziłem. Bydź może, że gromada wilków weszła na skałę wznoszącą się nad koźmi i biedne stworzenia wzywają pomocy ludzkiej jak mogą. — Unkas, weź łódkę, pod płyn w dół rzeki i rzuć rozżarzoną głównię między tę bandę zbojecką, bo czego wilk niedokaże, to przestрах uczynić może i ju-

tro będziemy bez koni, a taki kawał drogi przed nami.

Łody wódz zbiegł już nad brzeg rzeki i zabierał się siadać do łódki, żeby wypełnić to polecenie, kiedy długie wycie przez kilka minut rozchodząc się w powietrzu oznajmiło że wilki, czy to zrażone niepodobieństwem, czy nagłym spłoszone postrachem opuszczają swą zdobycz. Unkas powrócił zaraz i znowu jego ojciec ze strzelcem zaczęli naradzać się po cichu.

— Byliśmy tego wieczoru, — odezwał się nakoniec Sokole Oko, — jak myśliwi, którzy tracą kierunek czterech stron świata, gdy słońce cały dzień zakryte dla nich; ale teraz zaczynamy postrzegać znaki, które nam wskażą drogę, i już ścieżka uprzątnięta z ciorni. Usiądźcie państwo pod tą skałą, jej cień gęstszy niżeli sosen; zaczekamy co Pan Bóg raczy uczynić z nami. Proszę rozmawiać po cichu, albo lepiej żeby każdy przez czas niejaki ze swými myślami rozmawiał tylko.

Strzelec powiedział to głosem poważnym, znaczącym i zdolnym uczynić mocne wrażenie, chociaż sam nieokazywał już najmilszej bojaźni. Chwilowa ta słabość opuściła go natychmiast skoro objaśniła się tajemnica, na pojęcie której doświadczenie jego nie było dostateczne: a jakkolwiek znał wątpliwość obecnego położenia, łatwo wszakże dawało się widzieć, że uzbrojony w przyrodzoną sobie moc ducha, gotów był na wszystko coby się przytrafić mogło. Mohikanie usposobieni zapewne podobnie, obrali stanowisko jeden niedaleko drugiego i w ten sposób, aby sami ukryci w ciemności, mogli mieć na oku obadwa nadbrzeża rzeki.

W takim zdarzeniu naturalnie wypadało podróżnym naśladować ostrożność swoich towarzyszków. Hejward poszedł do jaskini po kilka brzemion szafranowych gałęzi i rozesałszy je w wązkim przejściu z jednej do drugiej groty, zrobił dla dwóch

siostr siedzenie zasłonięte od strzałów broni ognistej lub łuków, które z obu brzegów dosięgać mogły. Uspokoiwszy je potem zapewnieniem, iż nic się nie przytrafi o czémby wprzód ostrzeżone nie zostały, umieścić się tak blisko, aby dosyć cichym głosem mógł rozmawiać z niemi. Dawid Gamma idąc za przykładem dzikich, żeby nie byż postrzeżonym rozciągnął wielkie swe członki w rozpadlinie skały.

Odtąd godziny upływały spokojnie. Xięzyc wstąpił na najwyższy punkt swojej drogi i łagodne światło jego prostopadle prawie padało na dwie siostry uśpione w objęciach wzajemnych. Hejward przykrył je obszernym szalem Kory, i pozbawiwszy się tak lubego widoku, układał się także na poduszce ze skały. Dawid wydawał już głosy, których nie zniosłoby delikatne jego ucho gdyby je mógł słyszeć. Jednym słowem wszystkie czworo podróżnych sen ogarniać zaczął.

Lecz czujność niezmordowanych ich obrońców nie opuszczała na chwilę. Nieporuszeni jak te skały, których każdy z nich zdawał się być częścią, oczyma tylko ciągle przebiegali oba brzegi wzdłuż ciemnych lasów otaczających rzekę. Żaden głos z ust ich nie wyszedł, żadnego tchnienia nawet niepostrzegłoby najpilniejsze ucho. Ostróżność tę zbyteczną na pozor, nakazywało im zapewne doświadczenie wyższe nad wszelką przebiegłość nieprzyjaciół; baczność ta jednak nie odkryła żadnego niebezpieczeństwa. Nakoniec więźc zniżył się ku ziemi, a blade światło przenikając wierzchołki drzew na niedalekim zakręcie rzeki, zapowiedziało wschód jutrzeńki.

Natenczas jeden z posągów ożył; strzelec ruszył się z miejsca, przypełził po za skałę i obudził majora.

— Czas ruszać w drogę, — rzecze, — obudź pan kobiety i bądźcie gotowi sięść do łódki, na pierwsze moje wezwanie.

— Czy spokojnie noc wam przeszła? — zapytał Hejward; — bo co do mnie, sen pokonał mą czujność.

— Wszystko jeszcze spokojne jak o północy, — odpowiedział Sokole Oko. — Proszę milczeć i pośpieszać.

W mgnieniu oka major stanął na nogach i zaraz podniósł szal okrywający dwie siostry. Wzruszeniem tem Kora na wpół przebudzona wyciągnęła rękę, jakby chcąc odepchnąć co jej spać nie dawało. Alina zaś odezwiała się przez sen głosem przytłumionym: Nie, mój ojcze, nie byłyśmy opuszczone: Dunkan był przy nas.

— Tak jest niewienna istoto, — szepnął młodzieniec w uniesieniu, — Dunkan jest przy was i póki mu życia stanie, póki niebezpieczeństwa będą wam groziły, nigdy was nie opuści. Alino, Koro, wstawajcie! czas jechać.

Krzyk przestradchu młodszej, nagłe zerwanie się starszej siostry, wyraz trwogi i pomieszania na ich twarzach, były mu odpo-

wiedzią. Zaledwo bowiem skończył mówić, straszliwy wrzask i wycie rozlegając się po lesie, lodem ścięły mu krew w żyłach. Rzekłby kto że szatani z piekła napełniwszy całe naokoło powietrze, wynurzali okrótną swą wściekłość przez najdziksze głosy. Trudno było zgadnąć skąd wychodziła ta wrzawa, gdyż rozlegała się po całej puszczy, rzece i jaskini nawet.

Obudzony tym hałasem Dawid, powstał jak wysoki i zatykając uszy obu rękami; — Co za wrzask, — zawołał, — piekło musiało się otworzyć żeby nas zagłuszyć takim krzykiem!

W tej chwili dziesiątek błyskawic mignęło na przeciwległym brzegu, tuż po nich huknęło tyleż wystrzałów i biedny Gamma bez czucia zaległ też samo miejsce, gdzie tylko co spał tak smaczno. Dwaj Mohikanie na okrzyk tryumfu jaki nieprzyjaciele wydali widząc padającego Dawida, śmiało odpowiedzieli podobnymże wołaniem. Ogień

ręcznej broni z obu stron był częsty i śpieszny, lecz walczący jak jedni tak drudzy, mieli ostrożność nie wystawiać się na widok.

Major mniemając że ucieczka była jedynym ratunkiem, niecierpliwie żądał usłyszeć czém prędzej szum wioseł pędzących łódkę do skalistej płaszczyzny. Jej powierzchnia i rzeka płynąca zwykłym swym pędem były przed jego oczyma, lecz łódka nie ukazywała się na niej. Zaczynał już posądzać strzelca o nietościwe opuszczenie podróżnych, kiedy błysk ognia z nad skały położonej za nim, a wycie skonania na drugim brzegu oznajmiły mu, że goniec śmierci z długiej strzelby Sokolego Oka posłany, ugodził swą ofiarę. Po tej pierwszej stracie oblegający cofnęli się natychmiast i wszystko powróciło do tej ciszy jaka była przed niespodzianą wrzawą.

Major korzystając z pierwszej chwili uspokojenia, przeniósł nieszczęśliwego Dawida do wąskiej rozpadliny, gdzie ukrywały

się dwie siostry, a w minutę potem i cała gromadka zebrała się tutaj.

— Udało się temu szatanowi ocalić czuprynę, — rzecze strzelec z krwią najzimniejszą gładząc Dawida po głowie; — ale to dowodzi że człowiek może mieć język długi, a rozum krótki. Czyliż nie głupstwo sześć stop ciała i kości na gołej skale wystawiać rozjuszoney dziczy? To mię tylko dziwi, że jeszcze został przy życiu.

— Alboż żyje? — zapytała Kora głosem zupełnie niestosownym do tej odwagi, jaką udawać chciała; — czy można temu biedakowi przynieść jaką ulgę?

— Niech się pani nie lęka, — odpowiedział strzelec, — nie umarł jeszcze: zaraz się orzeźwi i będzie pamiętał tę naukę do dni życia. — Rzuciwszy potem na Dawida spojrzenie ukośne, cały zajęty nabijaniem strzelby, ze spokojnością dziwną, — Unkas, — rzecze, — wciągnij go do jaskini i połóż na szafranie. Im dłużej będzie tam zostawał, tem lepiej;

bo nie wiem czémby tu na skałach zasłonić tak ogromne członki, a Irokanom nie o śpiewanie jego będzie chodziło.

— Sądysz więc, że oni powrócą? — zapytał major.

— Czyliżbym mógł sądzić, że wilk zgłodniały przestanie na jednym kęsie? Stracili jednego człowieka, a to jest ich zwyczaj cofać się kiedy nie mogą dostać nieprzyjaciół i ponoszą stratę; ale wkrótce powrócą z nowym zasiłkiem żeby nas pobrać i z włosów naszych zrobić trofea zwycięstwa. Jedyna nadzieja nasza trzymać się mężnie na tych skałach, póki Munro nie przysze wsparcia. Daj Boże tylko, żeby to było co najprędzej i żeby naczelnik oddziału znał się dobrze na zwyczajach Indyan.

Kiedy to mówił czoło jego było zasępione niespokojnością dotkliwą, lecz ponurość ta rozproszyła się zaraz, jak lekki obłoczek przed promieniem słońca.

— Słyszysz Koro, czego obawiać się ma-

my,—odezwał się Hejward, — lecz wiesz razem ile nam obiecuje doświadczenie waszego ojca i jego troskliwość o was. Idź więc z Aliną do jaskini, gdzie przynajmniej, jeżeli się okrótni nieprzyjaciele nasi znowu ukażą, będziecie od kul bezpieczne i nieszczęśliwemu towarzyszowi podróży dacie ratunek jaki wam litość doradzi.

Obie siostry poszły za majorem do drugiej z dwóch jaskiń, w której Dawid zaczynał okazywać znaki życia. Hejward poleciwszy go ich staraniem, zawrócił się i chciał odejść.

—Dunkanie!—zawołała Kora głosem drżącym kiedy już wychodził z groty, i tego było dosyć żeby się zatrzymał. Odwróciwszy głowę spojrzał na Korę. Żywe kolory z jej twarzy spędziła bladość śmiertelna, usta drżały z poruszenia, a oczy tak czule zwracały się ku niemu, że natychmiast przyskoczył do niej.—Pamiętaj Dunkanie, — mówiła dalej, — ile los nasz od całości twojej

zawisł; nie zapominaj jak święcie strzedz powinieś tego, co ci ojciec powierzył; zważaj że wszystko na twojej roztropności i umiarkowaniu polega; miej wreszcie to zawsze na myśli, — dodała rumieniąc się powoli i wnet zapłoniona cała, — jak dalece jesteś drogi wszystkim co noszą nazwisko Munra.

— Jeżeli cokolwiek może powiększyć przywiązanie do życia, to zapewne tak miłe zapewnienie, — odpowiedział major mimowolnie poglądając na milczącą Alinę. — Gospodarz nasz wam powie, że jako major 60. półku muszę mieć udział w obronie miejsca ale to nic trudnego: chodzi tylko o to, żeby przez kilka godzin utrzymać dzikich w oddaleniu.

Nie czekając odpowiedzi wyrwał się z oczarowania, które go przy dwóch siostrach zatrzymywało i pobiegł do wąwozu łączącego dwie jaskinie, gdzie był strzelec i jego towarzysze.

— Słuchaj Unkas, — mówił strzelec w tej

chwili, kiedy major przybywał do nich, — daremno proch marnujesz; nie dawaj nabojów tak mocnych. Kiedy prochu nie wiele, ołowiu jak w miarę, a ramię dosyć długie, rzadko się nie udaje wydrzec Mingowi śmiertelnego zawycia. Tak przynajmniej nauczyło mię doświadczenie. No no, każdy na swoje miejsce; bo nikt nie wie kiedy i z której strony napadnie Makwa.

Dwaj Indyanie w milczeniu udali się na te same stanowiska, gdzie noc całą nie daleko jeden drugiego przepędzili w rozpadlinach skał panujących nad powierzchnią wodospadu. Kilka karłowatych sosen w kształcie krzaku rosło pośrodku wysepki. Tu strzelec z Hejwardem umieścili się między kupą ogromnych głazów. Za nimi wznosiła się okrągława skała, która opierając się gwałtownym wodom zmuszała je dwoma korytami wpadać do opisanych już przepaści. Ponieważ zaczynało świtać, nadbrzeża rzeki przestały być dla oczu ciem-

nę tylko ścianą i wzrok mógł przenikać doś-
szyć daleko w głąb lasów.

Tak ukryci zostawali czas nie mały, a nic
nie ukazało się takiego, coby mogło zapo-
wiadać powrót nieprzyjaciół. Major zaczy-
nał tuszyć sobie, że dzicy zrażeni niepo-
wodzeniem w pierwszym napadzie, prze-
stali myśleć o drugim i ośmielił się wyja-
wić towarzyszowi swoją nadzieję.

— Nie znasz Pan co to jest Makwa,—od-
powiedział strzelec, z powątpiewaniem ki-
wając głową, — jeżeli myślisz że tak łatwo
pójdzie w nogi nie obdarłszy ani jednej
głowy. Wyło ich tutaj ze czterdziestu dziś
rano, a wielu nas, wiedzą oni bardzo do-
brze i nie tak prędko porzucą swoje polo-
wanie. Cyt! spojrzysz Pan tam blisko pier-
wszego wodospadu. Niech umrę, jeżeli te
łotry nie odważyli się przebywać w pław-
rzeki, i jak na nieszczęście nasze, umieli
trzymać się śrzodka między pędem dwóch
koryt. Oto już dopływają do wyspy! Ci-

cho, nie pokazuj się Pan, albo będziesz miał odarte włosy tak prędko jak nóż okręcić koło głowy.

Hejward podniósł się ostrożnie i postrzegł to, co mu się słusznie zdawało cudem śmiałości zuchwałej. Woda ciąglem i długiem działaniem zmywszy pierwszy z dwóch skalistych progów, spadała tu nie tak gwałtownie i pionowo, jak zwykle w podobnych miejscach spada. Kilku nieprzyjaciół zawziętych, ośmieliło się przebydź pęd tego koryta w nadziei, że potem łatwo przepłyną do wyspy objętej dwóma ramionami groźnej katarakty, i nasycą zemstę zamordowaniem swych ofiar.

Zaledwo strzelec skończył mówić, czterej z nich ukazali głowy nad pniami drzew, które wodą przyniesione, zatrzymały się u brzegu, i może przez to podały dzikim myśl niebezpiecznego ich przedsięwzięcia. Piąty płynął nieco dalej, a z trudnością walcząc przeciw nurtóm, próżno usiłował skierować

się ku wyspie. Zaiskrzone oczy wystąpiły mu na łeb, wyciągał niekiedy rękę jakby prosząc towarzyszków o pomoc, nakoniec uniesiony pędem wody, zanurzył się w przepaść i tylko wycie rozpaczony wyszło z głębi gdzie pochłonięty został.

Wrodzonym uczuciem ludzkości powodowany Dulkan, ruszył się z miejsca chcąc zobaczyć czyliby nie można było ratować ginącego człowieka, lecz strzelec go wstrzymał.

— Co to Pan chcesz robić?—rzecze do niego cichym lecz mocnym głosem,—czy niechybną śmierć sprowadzić na nas, pokazując Mingom gdzie jesteśmy? Oszczędził się przez to jeden naboż, a proch tak jest nam drogi, jak każde wytchnienie danielowi od psów gnanemu. Daj Pan nową podsypkę do pistoletów, bo wilgotna kurzawa wodospadu mogła zamoczyć panewki, i przygotuj się walczyć łeb na łeb za pierwszym moim wystrzałem.

To rzekłszy, do ust przyłożył palec i wy-

dał przeciągłe gwiźnienie, któremu odpowiedziało podobnie z drugiej strony skały, gdzie stali dwaj Mohikanie. Na ten głos pływacze, znowu wysunęli głowy, jakby chcąc poznać skąd wychodził, lecz cofnęli je natychmiast. W tejże chwili major usłyszawszy lekki szelest za sobą, obejrzał się i postrzegł Unkasa przypelzającego płazem. Sokole Oko powiedział mu coś po delawarsku, młodzieniec zajął wskazane miejsce ostrożnie i z krwią najzimniejszą. Hejward drżał z niecierpliwości, lecz strzelec w chwili tak stanowczej, widział jeszcze potrzebę dać młodym towarzyszom niektóre przestrogi względem użycia broni ognistej.

— Ze wszystkiej broni, najniebezpieczniejsza jest rusznica z długą i należycie zahartowaną rurą, jeżeli tylko w dobrém znajduje się ręku, bo żeby dokazała czego wymagamy po niej, trzeba silnego ramienia, trafnego oka i umiarkowanego naboju. Fabrykanci nie znają dobrze celu swojego

rzemiosła, robiąc strzelby myśliwskie i te cacka co nazywają pistoletami olstro. . . .

Przerwał mu Unkas cichém wykrzyknieniem swojego narodu: Hug! Hug!

— Widzę, widzę ich dobrze,— odpowiedział Sokole Oko;—zabierają się włazić na skałę, inaczej nie pokazaliby z wody czerwonych swoich piersi. Dobrze więc, niech tu idą,—dodał opatrując na nowo podsypkę i krzemień.—Pierwszemu co się posunie naprzód, zajrzy śmierć w oczy, chociażby to sam Montkalm był nawet.

Tymczasem czterej dzicy wyszli na wyspę wśród straszliwego wycia, które odezwało się w przyległym lesie. Hejward umierał z chęci wyskoczenia na ich spotkanie, lecz widząc stałą spokojność towarzyszków pohamował swą niecierpliwość. Skoro dzicy wdarli się po głazach i z przeraźliwym wrzaskiem zaczęli zbliżać się do środka wyspy, rusznica strzelca powoli wysunęła się z pomiędzy sosen, rozległ się

huk strzału i Indyanin idący naprzód, podskoczywszy jak raniony daniel, zleciał z wierzchołka skały.

— Teraz że Unkas, — zawołał strzelec z zapalem błyszczącym w oczach i wyciągając swój nóż potężny, — uderz na tego łotra co idzie ostatni, a my rozprawimy się z dwóma bliższymi.

Unkas wyskoczył natychmiast i już po jednym tylko nieprzyjacielu zostało dla każdego. Hejward dał strzelcowi jeden pistolet; za zbliżeniem się Indyan strzelili obadwa, lecz żaden nie trafił.

— Wiedziałem że tak będzie i mówiłem Panu, — zawołał strzelec ze wzgardą rzucając przez skałę broń nie mającą u niego żadnej wagi. — Chodźcie, chodźcie tu psy piekielne! Czeka na was człowiek niezmięszanego rodu.

Zaledwo wymówił te słowa, stanął przed nim dziki olbrzymiej postaci i srogiej twarzy, a w tejże chwili drugi napadł Dunkana:

Strzelec ze swoim przeciwnikiem chwycili się nawzajem za ręce uzbrojone w noże zabójcze. Przez kilka chwil mierzyli jeden drugiego wzrokiem: każdy z nich usiłował oswobodzić swoje ramię nie puszczając cudzego. Nareszcie siła i wytrwałość białego wzięła przewagę nad mniej wyćwiczoną mocą nieprzyjaciela; podwojonem nateżeniem Sokole Oko wyrwał prawą rękę z omdlałej dłoni Indyanina i utopiwszy mu ostrze w sercu obalił pod swoje nogi.

Tymczasem Hejward niebezpieczniejszą wytrzymał rozprawę. Za pierwszym złożeniem się pałasz jego pękł na straszliwym nożu nieprzyjaciela. Pozbawiony wszelkiej broni, ostatni ratunek widział we własnych siłach i odwadze rozpaczy; lecz miał do czynienia z przeciwnikiem i mocnym i śmiałym. Szczęściem udało mu się rozbroić jego, i skoro wytrącony nóż upadł na skałę, chodziło już tylko o to, kto kogo zepchnąć z niej potrafi. Każde wyęczenie zbliżało pał-

sujących się nad brzeg przepaści: Dunkan postrzegł że przyszła stanowcza chwila, ostatnich sił dobył, żeby zwyciężcą wyjść z walki. Ale przeciwnik nie mniej był straszny: obadwa znajdowali się o dwa kroki od przepaści, na dnie której odmęt przechłaniał rzekę; Hejward miał gardło ściśnione ręką przeciwnika, widział na jego ustach ten uśmiech srogi, co zdawał się wyrażać że gotów zginąć byleby nieprzyjaciela pociągnął za sobą; czuł powolne ustępowanie sił swoich przewyższającej mocy, i doświadczał całej okropności takiego zgonu. W tej chwili niechybnej zguby, postrzegł między sobą a dzikim czerwoną rękę i błyszczącą klingę noża: wnet Indyanin puścił swą zdobycz, z podciętych żył jego natężonej ręki trysnęła krew strumieniem, a kiedy zbawcze ramię Unkasa cofało w tył Hejwarda, jego noga tymczasem strąciła w przepaść nieprzyjaciela grożącego jeszcze wzrokiem.

—Nazad! nazad!—zawołał strzelec, w tym-
że samym prawie czasie odniosłszy zwycięż-
two nad przeciwnikiem swoim; — nazad!
życie nasze zależy od tego. Nie myślcie
żeby to już była rzecz skończona.

Młody Mohikan zwyczajem swojego na-
rodu wydał głośny okrzyk tryumfu; trzej
zwycięzcy zszedłszy ze skały, powrócili na
też same stanowiska które zajmowali przed
potyczką.

ROZDZIAŁ VIII.

Mściciele swej ojczyzny czekają tu jeszcze!
Gray.

PRZEPOWIEDZENIE strzelca nie było bezzasadne. W ciągu potyczki którąśmy dopiero opisali, żaden głos ludzki nie mieszał się z łoskotem wodospadu. Moznaby powiedzieć, że natężenie uwagi z jaką jej przypatrywali się dzicy zebrani na przeciwnym brzegu, zamknęło im usta i trzymało niejako w zawieszeniu, póki nagłe ruchy pasujących się niepozwalwały dać im ognia, który równie dla przyjaciół jak nieprzyjaciół mógł być zgubny. Lecz skoro zwycięstwo przechyliło się widocznie, wycia wściekłości, zemsty i okrucieństwa z poza całego lasu rozległy się w powietrzu, a razem po-

sypały się szybkie wystrzały, jak gdyby barbarzyńcy na drzewach i skałach chcieli mścić się śmierci swych towarzyszków.

Szyngaszguk przez cały czas potyczki z niezachwianą stałością zostawał na swoim stanowisku i ukryty oddawał nieprzyjaciółom strzały równie nieszkodliwe, jak sam odbierał. Kiedy okrzyk tryumfu Unkasa doszedł jego uszu, zadowolony ojciec okazał radość podobnymże wołaniem, i odtąd z częstych tylko strzałów można było poznać, że nie opuścił swojego miejsca. Kilkanaście minut upłynęło szybkością myśli, a napastnicy nie przestawali dawać ognia już pojedynczo, już razem. Skały, drzewa i krzaki, nosiły piętna kul na około obleżonych, lecz ci tak bezpieczne obrali schronienie, że jeden tylko Dawid był raniony między nimi.

— Niechaj sobie szafują prochem, — rzecze strzelec z krwią najzimniejszą, chociaż kule gwizdały mu nad głową, — pozbieramy ich

ołów kiedy przestaną pukać, a spodziewam się że prędzej tym łotróm uprzykrzy się ta zabawka, niż te stare głązy poproszą ich o pardon. Unkas, powtarzam tobie, że wielkie dajesz naboje; kiedy strzelba trąca, kula celnie iść nie może. Mówiłem żebyś brał na cel tego poganina niżej białej kresy jego czoła, a kula poszła o dwa cale wyżej. Mingi mają życie mocne, a sama ludzkość każe nam rozgniatać węża od razu.

Chociaż Sokole Oko powiedział to po angielsku, młody Mohikan jednak lekkim uśmiechem dał poznać, że zrozumiał jego słowa; lecz ani odpowiedział, ani się starał usprawiedliwiać.

— Nie mogę pozwolić na to, — rzecze major — żebyś Unkasa obwiniął o brak roztropności albo nieuwagę. Przed chwilą równie walecznie jak i rozważnie ocalił mi życie i zjednał sobie przyjaciela, któremu nigdy nie trzeba będzie przypominać ile mu winien.

Unkas podniósł się trochę i podał Hej-

wardowi rękę. Przy tej oznace rozczule-
nia, taka wyrozumiałość błyszczała w oczach
młodego Indyanina, że major zapomniał na
jego ród i farbę.

Sokole Oko na te oświadczenia wzajemnej przyjaźni dwóch młodzieńców poglą-
dał obojętnie, chociaż obojętność ta nie była
skutkiem nieczułości. — Życie, — rzecze, —
jest to dług, który często ówaj przyjaciele na
pustyni zaciągają jeden u drugiego. Smiem
powiedzieć, że ja sam kilka przysług tego
rodzaju uczyniłem Unkasowi, a i on, pa-
miętam o tém bardzo dobrze, pięćkroć za-
słonił mię od śmierci; trzy razy w bitwach
z Mingami, raz przepływając Horykan i
raz kiedyśmy....

— No! to strzał lepiej wymierzony niż
inne, — zawołał major uchylając się szybko,
kiedy kula obok niego odskoczyła od skały.

Strzelec podniósł kulę i obejrzawszy pil-
nie, rzekł wzruszając głową: — Rzecz dziw-

na! kula nie spłaszcza się padając. Czy nie z obłoków strzelają do nas?

Strzelba Unkasa już była wymierzona ku niebu; Sokole Oko rzuciwszy wzrok w jej kierunku, znalazł wytłumaczenie tajemnicy. Ogromny dąb stał na prawym brzegu rzeki prosto przeciw tego miejsca, gdzie się oblężeni chronili. Jeden z dzikich wdarł się po jego gałęziach do takiej wysokości, że górował nad kupą głazów, za którą trzej sprzymierzeńcy byli dotąd od kul bezpieczni. Nieprzyjaciel ten zasłoniony pniem drzewa, wychylił się trochę, zapewne chcąc zobaczyć jaki uczynił skutek pierwszy strzał jego.

— Szatani ci niezaślugo wlażą do nieba żeby z góry spaść na nas, — rzecze strzelec; — nie strzelaj jeszcze Unkas, poczekaj póki ja nie będę gotów: damy ognia z dwóch stron razem.

Unkas usłuchał. Sokole Oko dał znak, dwa strzały błysnęły razem; oszarpane liście i kora dębu wyskoczywszy w górę, po-

leciały z wiatrem, lecz Indyanin za pniem ukryty został cały, a ukazując się naterczas ze wściekłym uśmiechem, drugi raz dał ognia i kula przeszła czapkę strzelcowi. Dzikie wycia odezwały się znowu, znowu kule gradem zaczęły świstać nad głowami obleżonych, jak gdyby przez to nieprzyjaciele chcieli ich wstrzymać od ucieczki z miejsca, gdzie się spodziewali widzieć ich zgon od strzałów przemyślnego wojownika, który zdobył stanowisko na dębie.

— Trzeba położyć koniec temu wszystkiemu — rzecze strzelec niespokojnie oglądając się koło siebie. — Unkas, zawołaj ojca; potrzebna nam wszystka broń nasza, żeby tę gąsienicę zbić z tego drzewa.

Dano hasło i nim Sokole Oko nabił strzelbę, Szyngaszguk już przyszedł. Kiedy syn ukazał mu stanowisko groźnego nieprzyjaciela, wykrzyknienie Hug! wymknęło mu się, lecz odtąd ani podziwienia ani bojaźni zgoła nie było w nim widać. Strzelec i

dwaj Mohikanie pomówiwszy z sobą pó delawarsku rozeszli się, ojciec z synem na lewo, a Sokole Oko na prawo.

Wojownik będący na dębnie, od chwili jak został postrzeżony dawał ognia bez innej przerwy, prócz czasu potrzebnego na nabicie broni. Czuyność przeciwników nie pozwalała mu dobrze wymierzać, gdyż skoro ukazał jaką część ciała; zaraz Mohikanie lub strzelec chwyтали ją na cel. Mimo to wszakże kule jego o niewiele chybiały. Hejward w swoim mundurze widoczniejszy nad innych, miał już kilka razy przestrzelone odzienie, a ostatnia kula do krwi zadrasnęła mu ramię.

Ośmielony powodzeniem dziki, chcąc lepiej wzięść na cel majora, ukazał nogę i całe niemal udo prawe. Bystre i baczne oczy Mohikanów postrzegły to natychmiast; dwa strzały wyleciały w tymże czasie i nic nie sprawiły prócz huk. Jeden z nich wszakże, albo może i oba nie były chybne tym ra-

zem. Dziki chciał przyciągnąć do siebie zranioną nogę i w tém usiłowaniu wychylił drugą stronę ciała. Szybki jak błyskawica strzelec dał ognia, wnet Huron upuścił z rąk strzelbę i nie mogąc utrzymać się na pokaleczonych nogach poleciał w dół głową; lecz padając chwycił się oburącz za gałąź, i gdy się ta pod jego ciężarem ugięła tylko, został zawieszony między niebem a przepaścią, nad brzegiem której dąb się wznosił.

— Przez litość dokończ go drugą kulą, — zawołał Hejward, odwracając, oczy od tak okropnego widoku.

— Ani kamuszkciem! — odpowiedział Sokole Oko; — śmierć jego i tak już pewna, a my nie mamy prochu do tracenia na próżno, bo bitwy z Huronami nie jeden dzień trwają czasem. Chodzi tu o ich albo o nasze włosy, a Bóg co nas stworzył wlał nam w serca przywiązanie do życia.

Nie było co odpowiedzieć na takie rozmowianie polityczne. W tém zamilkły wycia i strzały dzikich, a wszystkie oczy z obu stron zwróciły się na nieszczęśliwego, co się w tak okropnem znajdował położeniu. Ciało jego kołysało się z wiatrem, a chociaż nie wydał najmniejszego jęku, najmniejszego głosu boleści, mimo odległość widać jednak było na jego twarzy obok wzdargy i groźby dla nieprzyjaciół udręczenia rozpacz.

Trzy razy Sokole Oko zdjęty politowaniem podniósł strzelbę, trzy razy roztropność kazała mu kolbę opuścić na ziemię. Nakoniec zmordowana jedna ręka Hurona opadła w dół bez ruchu, a daremne usiłowanie żeby ją podnieść i chwycić za gałęź na której utrzymywał się drugą, podwoiło okropność widoku. Strzelec nie mógł wytrzymać dłużej, złożył się i dał ognia. Głowa dzikiego skłoniła się na piersi, drgnęły wszystkie jego członki, dłoń uwolniła gałęź,

zleciał w przepaść otwartą pod nim i zniknął z oczu na zawsze.

Mohikanie nawet nie wydali okrzyku tryumfu i jakby przejęci okropnością spojrzeli po sobie. Jedno zawycie odezwało się w stronie lasu, a po niém znowu głęboka nastąpiła cichość. Sam tylko Sokole Oko całkiem był zajęty tém, co dopiero uczynił i głośno narzekał na siebie, że uległ chwilowej słabości.

— Popełniłem dzieciństwo, — rzecze, — wystrzeliłem ostatni nabój prochu i ostatnią kulę. Cóż zależało na tém, czy on żyw, czy martwy spadłby w otchłań? wszakże zawsze spaść musiał. Unkas, zbiegaj do łódki i przynieś ztamtąd wielki róg z prochem: cały to nasz zapas, i chyba nie znam Mingów, jeżeli co do ziarna nie będzie nam potrzebny.

Młody Mohikan pobiegł śpiesznie, a strzelec tym czasem grzebał się po wszystkich kieszeniach i z umartwieniem wstrząsał

próżny swój rożek. Nie pomyślnie to szukanie skończyło się prędko, gdyż przerwał je tak przeraźliwy krzyk Unkasa, że nawet mniej wprawne ucho Dunkana poznało hasło zapowiadające nowe i niespodziane jakieś nieszczęście. Dręczony więc niepokojnością o drogie osoby ukryte w jaskini, powstał nagle nie myśląc o tém, jak niebezpieczno było ukazywać się na widok. Tymże uczuciem zdziwienia i przestachu zdjęci dwaj towarzysze jego poszli za jego przykładem, i kiedy wszyscy trzej wielkim pędem biegli ku wąwozowi łączącemu dwie pieczary, kilku nieprzyjaciół dało ognia do nich, lecz żaden nie trafił. Na głos Unkasa obie siostry i nawet Dawid, którego rana nie była ciężka, wyskoczyli z jaskini. Tak więc cała gromada zebrała się w jedno miejsce i dosyć było spojrzeć na rzekę, żeby poznać co młodemu wędzowi dało powód do krzyku.

Niedaleko skały łódka żeglowała po wodzie w ten sposób, iż łatwo było zgadnąć, że jakaś siła ukryta kierowała jej biegiem. Skoro to strzelec postrzegł, jakby przez instynkt przyłożył swą rusznicę do twarzy i pociągnął za cęgiel, lecz krzemień wydał tylko iskrę nieużyteczną.

— Już za późno! — zawołał w złości i rozpączy, — już za późno! zbójca dostał się na bystrą wodę, i chociażbyśmy proch mieli, zaledwo kula dognałaby go teraz.

Nim wymówił te słowa, Huron skurczony w łodzi widząc się już bezpiecznym od strzału, ukazał się cały, i dla zwrócenia uwagi towarzyszków swoich, podniosłszy rękę w górę, wydał okrzyk tryumfu, na który odpowiedziały wycia radośne, jak gdyby zgraja szatanów cieszyła się z upadku chrześcijańskiej duszy.

— Słuszną macie przyczynę cieszyć się, dzieci piekła, — rzecze Sokole Oko siadając na urwisku skały i nogą trącając precz od siebie

swoją broń nie przydatną na nic. Oto trzy strzelby najlepsze ze wszystkich jakie są w tych lasach, tyle warte teraz co spróchniałe polana, albo zrzucone rogi daniela.

— I cóż mamy począć teraz? — zapytał Hejward nie ulegając zwątpieniu, i chcąc dowiedzieć się czy nie zostawał jeszcze środek jaki; — co będzie z nami?

Strzelec odpowiedział mu tylko wprowadzeniem ręki koło głowy w sposób tak dobitny, że nie trzeba było słów na wytłumaczenie co to znaczyło.

— Nie jesteśmy jeszcze przyprowadzeni do tej ostateczności, — rzecze major, — możemy bronić się w jaskini, możemy niepozwoić im wysiąść na brzeg.

— I czémże? — spokojnie zapytał Sokoło Oko; — strzałami Unkasa? łzami kobiet? Nie, nie, nie czas już myśleć o obrobie. Jesteś młody, jesteś bogaty, masz przyjaciół, wiem że przy tém wszystkim gorzko jest umierać; ale, — dodał pogląda-

jąc na Mohikanów, — pamiętajmy, że mamy krew czystą i pokażmy tym mieszkańcom, lasów, że człowiek biały równie mężnie jak czerwony umie cierpieć i umrzeć kiedy mu czas przyjdzie.

Hejward spojrzawszy w tę stronę gdzie się zwróciły oczy strzelca, ujrzał z postępowania obu Indyan, że wszystka jego obawa nie była próżna. Szyngaszguk siedząc poważnie na ułamku skały, odwiązał nóż i tomahawk od pasa, a zdjęwszy z głowy pióro orle, czub swój jakby przygotowując do rychło spodziewaney operacyi wygładzał garścią. Twarz jego była spokojna, chociaż zamyślona, a czarne i błyszczące oczy utraciwszy zapach bitwy, przybrały wyraz stosowniejszy do obecnego położenia.

— Nie mamy jeszcze powodu rozpaczać, — rzecze major, — lada chwila może nam przyjść pomoc. Nie widzę nieprzyjaciół nigdzie w okóło: oni się cofnęli, opuścili bitwę

widząc że więcej w niej mają straty niż zysku.

— Może te przeklęte węże, jeszcze za godzinę, za dwie, przyłyną do nas, — odpowiedział Sokole Oko, — równie jak może już są tak blisko że nas słyszą, ale przybędą pewnie i w ten sposób, że nam nie zostawią żadnego ratunku. Szyngaszguku, bracie mój! — dodał po delawarsku, — ostatni raz dopiero walczyliśmy razem, bo Makwy wydadzą okrzyk tryumfu, zadając śmierć mądrym Mohikanowi i bladej twarzy, której wzroku lękali się równie we dnie jak w nocy.

— Niech kobiety Mingów śmierć ich oplakują, — rzecze Szyngaszguk ze zwyczajną wagą powagą i nie zachwianém mężstwem; — wielki wąż Mohikański wcisnął się do ich wigwamów i zatrul im tryumf wrzaskiem dzieci, których ojcowie nie powrócą nigdy. Od czasu jak ostatni raz spędziło śniegi, jedenastu wojowników zaległo ziemię dale-

ko od mogił swych przodków i nikt nie powie gdzie ich znaleźć, póki będzie milczał język Szyngaszguka. Niech dobędą najostrzejszych nożów, niech podniosą tomahawki najcięższe, bo najszkodliwszego nieprzyjaciela mają w swém ręku. Unkasie, synu mój, ostatni szczepie szlachetnego drzewa, przywołaj nিকczemników, powiedz niechaj się śpieszą, bo zmiękną im serca, i znowu tylko będą babami.

— Łowią oni teraz ciała swoich towarzyszków, — odezwał się słodki i poważny głos młodego Indyanina. — Huronowie z węgorzami pływają w rzece, padają z dębów jak dojrzałe żołądźcie, a Delawarowie śmieją się z tego.

— Tak tak, — rzecze strzelec wysłuchawszy charakterystycznej rozmowy dwóch Indyan: — starają się oni rozegrzeć krew w sobie, i będą drażnili Makwów, żeby prędzej odebrać ostatni cios od nich. Ale ja co mam krew niezmięszaną, potra-

fię umrzeć, jak powinien umierać biały: bez obelg w ustach, bez goryczy w sercu.

— I dla czegoż umrzeć? — rzecze przystępując do niego Kora, — droga wolna wam teraz, a zapewne potraficie wpływ przebyć rzekę. Uciekajcie do lasu, który dopiero opuścili nieprzyjaciele nasi, i proście nieba o pomoc. Idźcie poczciwi ludzie, i tak już zbyt wiele narażaliście się dla nas; nie trzymajcie się dłużej nieszczęśliwego losu naszego!

— Nie znasz Pani Irokanów, jeżeli sądzisz że nie czatują na wszystkich ścieżkach, wiodących w głąb lasu, — odpowiedział Sokole Oko, a potem dodał w prostocie ducha: — Prawda, że puszczając się tylko bez oporu z pędem wody, wkrótce bylibyśmy dalej, niż ich kule i nawet głosy dosięgnąć mogą.

— Czegoż się więc opóźniać? — zawołała Kora, — rzucajcie się do rzeki, nie pomnażajcie liczby ofiar dla nieprzyjaciół bez litości.

— Nie, — rzecze strzelec dumnie poglą-

dając w koło siebie, — lepiej jest umrzeć w zgodzie z samym sobą, niż żyć z obciążonym sumieniem. Cóżbyśmy odpowiedzieli Munrowi, gdyby nas zapytał, gdzie i dla czego opuściliśmy jego dzieci?

— Spieszcie do jego samego i powiedzcie niech prędeż pomoc nam przysyła, — zawołała Kora z zapalem szlachetnym, — powiedzcie mu, że Huronowie wloką nas w pustynie północne, lecz przy baczności i pośpiechu może nas jeszcze ocalić. A jeśli by przypadkiem ratunek był zapóźny, — dodała smutniejszym, lecz natychmiast wzmocnionym głosem, — zanieście jemu ostatnie pożegnanie, zaręczenie miłości, błogosławieństwo i modły obu córek; proście żeby nie płakał nad ich zbyt wczesnym zgonem, żeby w pokornej ufności czekał, póki niebo nie pozwoli mu połączyć się z nimi.

Na skrzepłej twarzy strzelca dało się postrzedz nadzwyczajne wzruszenie. Słuchał on z pilną uwagą, a kiedy Kora przestała

mówić, podparł się pięścią pod brodę i milczał, jakby zastanawiając się nad uczynioną mu propozycją.

— Jest to prawda poniekąd, — rzecze na koniec, — i nie można zaprzeczyć, prawda wynikająca z ducha religii chrześcijańskiej. Co może być dobre dla człowieka czerwonego, może być złe dla białego, który na swoją wymówkę ani jednej kropli krwi zmieszanej nie ma. Szyngaszguku, Unkasie, czy słyszeliście co mówiła kobieta biała z czarnemi oczyma?

Powiedział im potem coś po delawarsku, chociaż łagodnym i spokojnym, widocznie jednak stanowczym tonem.

Szyngaszguk wysłuchał go ze zwyczajną sobie powagą, zdawało się że czuł ważność słów jego i zastanawiał się głęboko, a po chwili niepewności skłaniając głowę na znak potwierdzenia, wymówił angielski wyraz: **Dobrze!** — z przesadą właściwą swemu narodowi. Przypasawszy potem nóż i to-

malhawk, w milczeniu udał się w stronę przeciwną stanowisku nieprzyjaciół, zszedł na brzeg skały, zatrzymał się chwilę, wskazał ręką las będący na drugiej stronie, powiedział słów kilka w swoim języku, jakby opowiadając kędy popłynię, rzucił się do wody, dostał się na środek rzeki i wkrótce zniknął z oczu.

Strzelec zatrzymał się jeszcze żeby powiedzieć słów kilka wspaniałomyślniej Korze, która widząc skutek swych przełożeń zaczęła oddychać wolniej.

— Mądrość czasami znajduje się w młodych, równie jak w starych, — rzecze, — i co Pani powiedziałaś jest mądre, jeżeli nie co więcej. Gdyby państwa, to jest przynajmniej tych z państwa, których może ocalać, na chwilę uprowadzano w lasy, starajcie się po drodze co najwięcej łamać gałęzi, a mocne robić ślady na ziemi: póki oko ludzkie dostrzedz je będzie mogło, póty miejcie nadzieję w przyjacielu, który nie opuści was

choćby mu przyszło na koniec świata iść za wami.

Wziął potém rękę Kory, uściskał ją czule, podniósł z ziemi swoją strzelbę, popatrzył na nią boleśnie, i starannie schowawszy pod krzakiem, poszedł ku brzegowi wprost do miejsca obranego przez Szyngaszguka. Tu zatrzymał się jeszcze, jakby niepewny co miał począć i oglądając się naokoło z twarzą zmartwioną, zawołał:

— Gdyby mi został ten rozek prochu, nigdybym nie poniósł takiej hańby!—To rzekłszy, rzucił się do rzeki i podobnież jak Mohikan znikł niebawem.

Wszystkie oczy zwróciły się wtedy na Unkasa, który najspokojniej stał oparty o skałę. Po niejakiem milczeniu Kora ukazując mu rzekę, odezwała się do niego:

— Widzisz, że twoi przyjaciele uszli nie postrzeżeni i zapewne już są bezpieczni teraz; czego się ociągasz iśdź za nimi?

—Unkas chce tu pozostać, — odpowiedział

młodzieniec złą angielszczyzną, lecz najmiłszym głosem.

— Żeby powiększyć okropność naszej niewoli i zmniejszyć nadzieję ratunku?— zawołała Kora spuszczać oczy przed pałającym wzrokiem młodego Indyanina.— Uchodź szlachetny młodzieńcze,— mówiła dalej, może i z tajemnym uczuciem władzy jaką miała nad nim ; — uchodź i bądź najzaufanszym moim posłańcem. Spiesz do mojego ojca, powiedz mu że prosimy jego żeby tobie powierzył środki wyrwania nas z niewoli. Spiesz natychmiast, proszę, błagam cię o to!

Spokojna i łagodna twarz Unkasa oblekła się ponurym smutkiem, lecz nie ociągał się dłużej. Trzema susami przyskoczył nad brzeg skały, rzucił się do wody i skrył się w nurtach przed śledzącymi go oczyma. W chwilę potem, wynurzył głowę na środku bystrej rzeki i zaraz znowu znikł w oddaleniu.

Trzy te próby szczęścia, pomyślne jak się

zdawało, nie zajęty nad kilka minut czasu, tak drogiego w obecnym razie. Kiedy już nie było widać Unkasa, Kora obróciwszy się do majora rzekła prawie drżącym głosem:

— Słyszałam Dunkanie, że pływasz wybornie; nie trać więc czasu i idź za przykładem tych szlachetnych i wiernych ludzi.

— Tegoż to Kora Munro spodziewa się po tym, co nią opiekować się jest obowiązany?—Zapytał Hejward z gorzkim uśmiechem.

— Nie pora teraz wchodzić w drobnostki i wysilać się na sofizmata,—zawołała Kora z żywością;— kiedy należy tylko na powinność zważać. W obecném zdarzeniu pomodz nam nic nie możesz; zachować życie drogie dla przyjaciół innych, starać się powinieneś.

Hejward nic nie odpowiedział, lecz tylko rzucił bolesne spójrzenie na Alinę, która nie mogąc utrzymać się o swych siłach, opierała się na ramieniu siostry.

— Pomyśl jednak,— odezwała się Kora po

niejakiej przerwie, w której widocznie doświadczała uczuć mocniejszych niż okazać chciała,—pomyśl że nic gorszego nad śmierć spotkać nas tu nie może, a to jest dług, który każde stworzenie wypłacić powinno wtenczas, kiedy się Stwórcy dopomnieć podoba.

— Są rzeczy nad śmierć gorsze, — odpowiedział Hejward tonem pokazującym że się mu to naleganie przykryło, — a które obecność człowieka gotowego umrzeć za was odwrócić może.

Kora nic więcej nie mówiąc zakryła twarz szalem, wzięła Alinę pod rękę i weszła z nią do drugiej z dwóch jaskiń.



ROZDZIAŁ IX.

Poddajcie się dopiero miłej wesołości,
Gdyż zamiast niebezpieczeństw pokój wśród was gości;
Spędźcie z czoła te chmury, ten smutek grobowy,
A niech waszą twarz uśmiech przyozdobi nowy.

Śmierć Agrippiny.

JAKBY czarnoksiężka cisza, przerywana tylko łoskotem wodospadu, następując nagle po wrzawie potyczki, takie wrażenie uczyniła na Hejwardzie, iż mniemał prawie, że się obudza ze snu; a chociaż wszystko, co widział, co robił, co się koło niego działo, głęboko utkwilo mu w pamięci, zaledwo jednak mógł dać wiary, że to było na jawie. Nie wiedząc jeszcze, jaki los spotkał uniesionych pędem wody, pilnie słuchał, azali jaki okrzyk radości, lub głos rozpaczny, nie oznajmi mu o pomyślnym skutku, albo

smutnym końcu niebezpiecznej ich wyprawy. Ale próżno nadstawiał ucha, ostatni ślad jego towarzyszków zniknął z Unkasem.

Wśród tak bolesnej wątpliwości, nie pominąc na wszystkie przestrogi strzelca dawaną mu podczas bitwy, bez namysłu poszedł nad brzeg skały, lecz i tu z niczego nie mógł poznać, ani czy przyjaciele zostali ocaleni, ani czy nieprzyjaciele zbliżają się, lub gdzie w okolicach są ukryci. Zdało się, że nadbrzeżne lasy znowu opuściło wszystko, cokolwiek cieszyło się życiem. Zamiast wrzawy przed chwilą rozlegającej się po nich, szumiał już tylko głuchy szmer wody. Ptak drapieżny, co siedząc nie daleko na uschłej jedlinie, spokojnie przypatrywał się bitwie, rozwinął teraz skrzydła i ogromne w powietrzu zakreślając koła, upatrywał pastwy dla siebie; a sojka, której głos wrzaskliwy zagłuszały wycia dzikich, zaczęła krzyżeć znowu, jakby z radości, że zostawiono jej posiadłość dziedzicznych pustą

ków: Wszystkie te znaki bezładności ustro-
nia wlały w serce Hejwarda nowy promyk
nadziei i pokrzepiły jego odwagę.

— Nie widać Huronów, — rzekł major zbli-
żając się do Dawida, który nie mogąc jeszcze
przyjść do siebie po tym upadku, co mu
bardziej niż kula odebrał zmysły, siedział na
kamieniu oparty grzbietem o skałę; — skryj-
my się w jaskini i zdajmy resztę na wolą
Opatrzności.

— Przypominam sobie, — odpowie psalmi-
sta, — że razem z jedną z naszych dam milut-
kich, wznosiłem głos mój na złożenie dzię-
ków Niebu; lecz sąd Boski ukarał mię za
moje grzechy. Zasnąłem potem, a sen ten
snem nie był i uszy moje rozdarły głosy tak
fałszywe, jak gdyby już w całym przyrodze-
niu zepsuła się harmonija i przyszedł dzień
ostatni.

— Oh nieboraku! — zawołał Hejward, —
tylko co nie przyszedł dla ciebie dzień osta-
tni. Ale no, chodź za mną; zaprowadzę cię

na miejsce, gdzie nie usłyszysz innych głosów prócz śpiewu twych psalmów, jeżeli zechcesz.

— Jest jakaś melodia w szumie wodospadu, — rzecze Dawid, ściskając sobie czoło, — i szmer bieżącej wody nie ma nic przykrego dla ucha. Ale czy nie napełniają powietrza, te głosy okropnej, tłumnej, jak dusze wszystkich potępieńców ...

— Nie, nie, — przerwał Hejward, — ucichły wycia szatanów, i spodziewam się, że oni sami już odeszli. Wszystko spokojne i ciche, prócz wody rzecznej. Chodź do jaskini, będziesz mógł tam wydawać głosy przyjemniejsze dla ciebie.

Dawid uśmiechnął się posępnie, chociaż na wzmiankę ulubionej muzyki, promyk radości błysnął w jego oczach. Nie ociągając się za tem, pozwolił sobie prowadzić na miejsce, gdzie mógł swobodnie dogodzić swemu upodobaniu, i oparty na ramieniu Hejwarda wszedł do jaskini.

Pierwszém tu staraniem Hejwarda było, pomyśleć o tém, żeby wejście nie dawało się postrzedz zewnątrz; zatknął więc je kupą szafranowych gałęzi, a dla uczynienia ciemniejszą tej wątlej zapory rozwiesił wewnątrz zasłonę Indyan. Tym sposobem słabe tylko światółko wpadało przez bardzo szczupły otwor wychodzący, jakieśmy już powiedzieli, na odnogę rzeki, która nieco niżej łączyła się z drugą.

— Nie lubię ja tego zdania Indyan: ulegać bez oporu, jak tylko zda się że nie masz ratunku,—rzecze major, cały zajęty zabezpieczaniem swej twierdzy;— Nasza maxyma, że nadzieja trwa równo z życiem, daleko bardziej jest pocieszająca i właściwsza żołnierzowi. Tobie Koro nie mam potrzeby dodawać odwagi; twoja słabość, twój rozsądek uczą cię, co twojej płci przystoi; ale czy nie masz jakiego sposobu otrzeć łez trwożliwej siostrzyczce, płaczącej na twém łonie?

—Jużem się uspokoiła Dunkanie,— rzecze Alina, usuwając się z rąk siostry, i usiłując mimo łzy okazać spokojność; — daleko jestem spokojniejsza teraz. Możemy być bezpieczne w tym zakątku; nie mamy się czego obawiać, któż tu nas odkryć potrafi? Miejmy nadzieję w tych ludziach szlachetnych, co się już tyle narażali dla nas.

— Kochana Alina nasza, mówi teraz jak córka Munra, — rzecze Hejward zbliżając się do niej, żeby uścisnąć jej rękę.— Mając przed oczyma dwa takie przykłady odwagi, któżby mógł bez wstydu nie zostać bohaterem?

Usiadł potem na środku jaskini i ścisnął mocno w rękę pozostały pistolet, a z brwi zmarszczonych można było poznać w jakie postanowienie uzbroiła go rozpacz. Jeżeli Huronowie i przyjdą, nie tak łatwo im będzie, jak sobie myślą, dostać się tutaj: przemówił sam do siebie opierając głowę o skałę, i odtąd z oczyma ciągle zwróconemi na

otwór zabezpieczony rzeką, odważnie i cierpliwie czekał dalszego wypadku.

Długie i głębokie milczenie nastąpiło po tych słowach majora. Chłód poranku oświeżył jaskinię i szczęśliwy skutek sprawił na umysłach zgromadzonych w niej osób. Każda chwila upłyniona bez nowego niebezpieczeństwa, rozniecała w ich sercach isierkę odradzającej się ufności; nikt wszakże nie śmiał odczuwać się z nadzieją, którą moment następny mógł zniszczyć.

Zdawało się, że jeden tylko Dawid nie doświadczał tych uczuć. Przy słabym promyku światła przez otwór jaskini padającym na niego, można było widzieć że pilnie przerzucał kartki swojej nieocenionej książki, jakby szukał pieśni stosownej do obecnego zdarzenia; bo zapewne kręciło się jeszcze mu w pamięci co major mówił wprowadzając go do jaskini. Nareszcie usilna jego praca uwieńczona została. Jednym razem, bez wstępu, bez przemowy:— *Wyspa*

Wigów! zawołał, i zagrawszy na ulubionym instrumencie dla dobrania tonu, harmonijnym głosem prześpiewał nótę zapowiedzianej pieśni.

— Czy to będzie bezpiecznie? zapytała Kora wlepiając w Hejwarda czarne swe oczy.

— Głos tego nieboraka, — rzecze major, — nie jest teraz tak mocny, żeby go kto usłyszał wsrzód łoskotu spadającej wody. Może więc bez obawy pocieszać się swoim sposobem.

— Wyspa Wigów! — powtórzył Dawid oglądając się w koło z tak nadętą powagą, jak-gdyby chciał uciszyć kilkudziesiąt gadatliwych uczniów: — Piękno nota i słowa uroczyście tej pieśni; zaśpiewajmy ją zatém z uszanowaniem przyzwoitém.

Zamilkł na chwilę w celu zwrócenia tém większej uwagi słuchaczy, a potem zwolna głos podnosząc napełnił jaskinię harmonijném brzmieniem. Melodya tém tkliwsza; ze piersi śpiewaka były osłabione

nico, wkrótce uczyniła mocne na słuchających wrażenie i kazała zapomnieć o nędznym przekładzie śpiewu, tak starannie wyszukanego przez Dawida. Alina czule zwróciwszy na psalmistę osuszone ze łzów oczy, jawnie wyrażała niezmyśloną rokosz. Uśmiech zadowolenia na ustach Kory był nagrodą imiennikowi króla proroka za pobożną gorliwość. Wypogodziło się nawet zachmurzone czoło Hejwarda, kiedy wzrok jego orderwany na chwilę od otworu jaskini spotykał kolejno, to zapał błyszczący w oczach śpiewaka, to słodszy promyk, co jaśniał pod zwilżonemi jeszcze rzęsami Aliny.

Skoro muzyk postrzegł takie wrażenie na słuchaczach, zadowolona miłość własna wróciła głosowi jego całą moc i pełność, nie ujmując bynajmniej słodyczy. Lecz właśnie kiedy pod sklepieniem jaskini śpiew wdzięczny zaczął brzmieć najsilniej; straszliwy krzyk nad nią przerwał głos śpie-

wakowi tak nagle, jak gdyby mu kto niespodzianie zatknął gębę.

— Już po nas! zawołała Alina rzucając się w ręce Kory, otwarte na jej przyjęcie.

— Nie jeszcze, nie, — rzecze Hejward; — krzyk ten słychać na śródku wyspy; wydali go barbarzyńcy na widok swych towarzyszy pobitych. Nie jesteśmy jeszcze odkryci i możemy mieć nadzieję.

Jakkolwiek słaba była ta nadzieja, Dunkan nie bezużytecznie z nią się odezwał; bo przynajmniej dał poznać obu siostrom potrzebę zachowywania cichości.

Drugi krzyk nastąpił tuż po pierwszym i wkrótce dały się słyszeć pojedyncze wołania dzikich, biegnących od brzegu na środek wysepki i aż na skałę kryjącą obie jaskinie. W powietrzu ciągle rozlegały się wycia srogie, jakie sam tylko człowiek, i to w stanie najdzikszego barbarzyństwa, wydawać jest zdolny.

Straszliwe te głosy wnet rozsypały się

na wszystkie strony. Jedni przywoływali swoich towarzyszy do brzegu; drudzy odpowiadali im z wierzchołka skały. Niebezpieczniejsze krzyki dały się słyszeć blisko wąwozu łączącego dwie pieczary; wkrótce kilku Huronów odezwało się na dnie rozpadliny: jednym słowem, przeraźliwa ta wrzawa szerzyła się tak nagle, zdawała się tak bliską, że cztery osoby zamknięte w grocie uczuły bardziej niż kiedykolwiek potrzebę zachowania najgłębszej cichości.

Wsrzód tego hałasu jeden okrzyk tryumfu odezwał się niedaleko otworu zakrytego kupą szafranowych gałęzi. Hejward sądząc, że już wchód postrzeżono, stracił ostatek nadziei. Jednakże ochłonął znowu, kiedy posłyszał że dzicy rzucili się ku miejscu, gdzie strzelec schował swą rusznicę i z kilku wyrazów mowy używanej w Kanadzie (*), jakie Huronowie do swojej mię-

(*) W Kanadzie mówiono po francuzku.

szali, domyślił się że ją znaleziono teraz.

Wielu zawołało razem: Długi Karabin! a gdy echo przy tem powtórzyło imię sławnego strzelca, który niekiedy obozom angielskim za przewodnika służył, major dowiedział się kto przed godziną był jego towarzyszem.

Słowa te: długi karabin! długi karabin! z ust do ust przechodziły ciągle i cała zgraja zebrała się koło zdobytej broni, którą uważano za dowód śmierci jej właściciela. Po gwarliwej naradzie, przerywanej często uniesieniami dzikiej radości, Huronowie rozbiegli się na wszystkie strony wywołując imię nieprzyjaciela, którego ciało, jak się Hejward z niektórych ich wyrażenń dorozumiewał, spodziewali się znaleźć, gdziekolwiek w rozpadlinie skały.

— Teraz to stanowcza chwila, — szepnął Hejward siostróm drżącym z bojaźni. — Jeżeli ta jaskinia ujdzie ich wzroku, będziemy ocaleni. Cokolwiek bądź, jesteśmy pewni

z tego co gadali, że nasi przyjaciele nie wpadli w ich ręce i za parę godzin możemy otrzymać pomoc od Weba.

Kilka minut upłynęło w milczeniu nie spokojności, a wszystko świadczyło że dzieci daleko ściślej zaczęli przetrząsać wyspę. Nie raz słyhać było, jak w wąwozie łączącym dwie jaskinie z szelestem ocierali się koło liści szafranowych; suche gałązki kruszyły się pod ich stopami; nareszcie i wiązka zgromadzona przez Hejwarda usunęła się trochę i z boku zabłysła szczelina. Kora w śmiertelnym przestachu przytuliła siostrę, a Dunkan powstał szybko jak błyskawica. Potężny okrzyk w tej chwili wychodzący widocznie z przyległej pieczary oznajmił że Huronowie ją odkryli i cała tłuszcza wbiegła do niej, albo przynajmniej zgromadziła się u wchodu.

Ponieważ nie zbyt wielka odległość dzieliła dwie jaskinie, major uważał za rzecz niepodobną, aby odkrywszy pierwszą, nie

odkryto drugiej. Myśl ta rzuciła go w rozpacz: przyskoczył do zasłony i zbliżył oko do szpary otworzonej przypadkiem, chcąc zobaczyć gdzie się obracali dzicy.

Na sięgnięcie ręką od niego stał Indyanin olbrzymiego wzrostu i głosem brzęcącym dawał, jak się zdawało, rozkazy innym. Nieco dalej mnóstwo Huronów z największą ścisłością przetrząsało wszystkie zakątki jaskini pierwszej. Krew z rany Dawida zafarbowwała kilka gałązek na kupie szafranu gdzie przed chwilą leżał. Dzicy postrzegłszy to wydali okrzyk radości, podobny do zawycia całej psiarni, kiedy jeden gończy wpadnie na trop stracony. Zaraz przyskoczyli wszyscy i w nadziei że już znajdą nieprzyjaciela, oddawna będącego przedmiotem ich nienawiści i obawy, zaczęli rozgrzebywać gałęzie i dla uprzątnienia zawady wyrzucać je na przestrzeń dzielącą dwie pieczary. Jeden wojownik dzikiej i srogiej twarzy zbliżył się do wodza z garstką sza-

franowych gałęzi w rękę i rozprawiając żwawo z miną tryumfującą pokazał mu plamy krwi na nich. Hejward z częstego powtarzania: Długi karabin, domyślił się treści słów jego.

Dziki rzuciwszy potem skrwawione gałęzie na kupę zasłaniającą wejście do drugiej pieczary, zakrył szczelinę. Dalsi idąc za jego przykładem zwałili na nie cały chrust wyniesiony z jaskini pierwszej, i tym sposobem mimowolnie przyczynili się do zabezpieczenia osób ukrytych w drugiej. Wątpliwość tej zapory stanowiła właśnie jej dzielność, każdy bowiem sądził że ktoś inny w czasie rozruchu zsunął tę kupę chrustu i nikt nie myślał jej roztrząsać.

W miarę jak zasłona rozpięta wewnątrz uchyłała się przed co raz zsiadlejszem brzmieniem gałęzi narzucanych zewnątrz; Dulkan oddychał wolniej. Nie mogąc już wreszcie nic widzieć, powrócił znowu na swoje miejsce, skąd miał przed oczyma wyj-

wyście na rzekę. Tymczasem zdawało się że Indyanie zaniechali dalszych poszukiwań: jedni po drugich wyszli z pieczary, udali się na miejsce gdzie pierwszy rozlegał się ich okrzyk, i wnet wycia żałośnie oznajmiły że są już przy ciałach towarzyszy poległych w pierwszej wyprawie.

Ledwie dopiero major odważył się podnieść oczy na swoje towarzyszki; przez cały bowiem krótki przeciąg grożącego niebezpieczeństwa, lękał się aby niespokojność malująca się na jego twarzy, nie zatrwożyła jeszcze bardziej przelęknionych dziewcząt.

— Już odeszli Koro, — szepnął; — już wracają tam, skąd przyszli Alino; zostaliśmy ocaleni. Dziękujmy za to Niebu, które nas wybawiło od nieprzyjaciół okrutnych.

— Dzięki więc Niebu! — zawołała Alina wyrывая się z rąk siostry i padając na kolana. — Najgorętsze dzięki Niebu, co tyle też oszczędziło dobremu ojcu, co

zachowało życie tak drogich dla mnie osób!

Kora więcej od siostry panująca nad sobą, z rozczuleniem patrzyła na ten popęd mocnego wzruszenia, a Hejward pomyślał, że pobożność nigdy nie mogła przybrać uroczniejszej postaci. Oczy Aliny jaśniały ogniem wdzięczności, policzki odzyskały całą swą piękność; a z wymównych rysów twarzy można było poznać, że gotowała się głosem wyrazić uczucie przepelniające jej serce. Lecz zaledwo otworzyła usta, słowa jakby zamarły na nich, śmiertelna bladość twarz jej pokryła, oczy utkwiły się w jakiś przedmiot z osłupieniem przestrawu, ręce wzniesione do góry wyciągnęły się poziomie ku wyjściu na rzekę i wszystkie członki zadrzały gwałtownie. Hejward szybko rzucawszy wzrok w kierunku jej ramion, postrzegł na drugiej stronie zatoki, płynącej wąwozem, jakiegoś człowieka, a wnet z dzikiej i srogiej jego twarzy poznał że to był wiarołomny przewodnik — Lis Chytry.

W okropnej chwili zadziwienia i przestachu, przytomność nie opuściła majora. Wnosząc z obojętnej postawy Indianina że jego oczy przyzwyczajone do światła nie przeniknęły oiemności panującej w jaskini, spodziewał się jeszcze ukryć z towarzyszami w kącie ciemniejszym, gdzie siedział Dawid. Ale wyraz radości okrótniej, jaki w tejże chwili ukazał się na twarzy dzikiego, przekonał go, że wszystko za późno, że już są odkryci.

Nie mogąc znieść tej miny zwierzęcego tryumfu, co mu tak straszną objawiała pewność, Hejward zapomniał na wszystko, i w zapale gniewu pragnąc tylko wydrzeć życie wiarołomnemu nieprzyjacielowi, strzelił do niego z pistoletu. Huk podobny do wybuchnienia wulkanu rozległ się w jaskini, Hejward nie mogąc nic widzieć za dymem przyskoczył do otworu, lecz już na tém miejscu gdzie był Magua nie postrzegł nikogo. Zdrajca o kilkanaście kroków da-

lej, schylony przemknął się mimo skały.

Głębokie milczenie powstało między Indianami, na huk ten, jak mniemali wychodzący z wnętrzości ziemi. Lecz skoro Lis wydał okrzyk przeciągły, i dla zbytku radości niezrozumiały prawie, towarzysze tłumnie odpowiedzieli mu wyciem, skupili się znowu, wbiegli do wąwozu dzielącego dwie jaskinie, i nim Hejward ochłonął z pierwszego pomieszania, zwała się słaba zaporą szafranowych gałęzi, dzicy wpadli do pieczary, chwycili cztery osoby w niej schronione i wyciągnęli je na wolne powietrze, między całą zgraję uradowanych Huronów.

ROZDZIAŁ X.

Sen nam noc całą nieskleił powieki,
Lecz jutro, jutro może pośniemy na wieki!

Szekspir.

Hejward przyszedłszy do siebie z pierwszego pomięszania, po tak nagłej zmianie losu, zaczął wyczytywać z twarzy i obejścia się zwycięzców czego się mu lękać lub spodziewać należało. Wbrew zwyczajowi dzikich, skorych zawsze do nadużycia odniesionej korzyści, szanowali oni nie tylko obie siostry i psalmistę, ale nawet majora; a chociaż jego mundur, nędzewszystko zaś szlify, mocną sprawiały im pokusę i kilku sięgało już po nie łupieżną ręką w niewątpliwym zamia-

rze przywłaszczenia sobie, rozkaz jednak naczelnika surowym wyrzeczony tonem, pohamował ich natychmiast. Hejward wniosł zatém, że oszczędzano ich, do czasu przynajmniej, dla szczególnej jakiejś przyczyny.

Kiedy młodszy z pomiędzy dzikich, skupieni koło oficera, ciekawym i pożądlivym wzrokiem przypatrywali się jego mundurowi, w który każdemu z nich chciałoby się przystroić; tymczasem starsi i doświadczeni wojownicy znowu przetrząsali obie jaskinie i wszystkie rozpadliny skały, z niechęcią pokazującą widocznie, iż nie dość im było na odniesionym owocu zwycięstwa. Niemogąc znaleźć ofiar najpożądańszych dla ich zemsty, powrócili nareszcie do swoich jeńców i opryskliwie zapytali złą francuszczyzną, gdzie się podział Długi Karabin. Hejward udał, że nie rozumie tego języka, a Dawid w istocie nie umiając po francuzku, nie miał potrzeby uciekać się do udawania. Zmordowany nakoniec na-

tręctwem i ponieważ badania stawały się co raz natarczywsze i groźniejsze, lękając się rozdrażnić barbarzyńców przez nadto uporczywe milczenie, major szukał oczyma Magui, chcąc niby użyć go za tłumacza.

Dziki ten postępowaniem swoim zupełnie różnił się od innych. Od czasu odkrycia czworga jeńców nie mięszał się on do niczego: kiedy jedni przetrząsali wyspę, drudzy otworzywszy tłumoczek psalmisty chciwie dzielili się znaną w nim ruchomością, on tak spokojnie, z tak wesołą twarzą stał o kilka kroków dalej, iż widocznie było, że otrzymał wszystko, czego się po swej zdradzie spodziewał. Major spotkawszy złowrogie, chociaż spokojne wejście swojego niegdyś przewodnika, ze wstrętem zrazu odwrócił oczy; ale wnet przypominając potrzebę hamowania swych uczuć, przewyciężył siebie i odczwał się do niego:

— Lis Chytry jest tak wielkim wojowni-

kiem, że zapewne nieodmówi wytłumaczyć bezbronnemu nieprzyjacielowi, czego chcą od niego zwycięzcy.

— Pytają oni u niego, gdzie jest strzelec, co zna wszystkie manowce lasów, — odpowiedział Magua złą angielszczyzną, i przykładając rękę do ramienia przewiązanego gałęzmi szafranu;— Długi Karabin,— dodał z dzikim uśmiechem; — jego strzelba jest dobra i oko nigdy się nie zmruga, lecz równie jak mała strzelbeczka wódza białego, nie może wydrzeć życia Chytremu Lisowi.

— Lis nie tak mało jest mężny, — rzecze Hejward, — żeby myślał o ranie odniesionej na wojnie i wyrzucał to ręce, która ją zadała.

— Czy to wojna była natenczas, kiedy Indianin zmordowany usiadł pod dębem posilać się swoim ziarnem? Kto napełnił lasy zaczajonymi nieprzyjaciółmi? Kto mu chciał schwytać ręce? Kto miał pokój na języku, a krew w sercu? Czy Magua mówił

że własnymi rękami wykopał swą siekiereę z ziemi ?

Hejward nie śmiejąc tych zarzutów przeciw oskarżycielowi zwrócić i wymawiać mu że on sam knował zdradę; a razem mając sobie za poniżenie usprawiedliwiać się dla złagodzenia jego gniewu, milczał na to wszystko. Magua także nie okazał chęci do dalszych sporów i opierając się znowu o skałę, od której był oddalił się trochę, przybrał też samą co miał pierwiej obojętną postawę. Ale wołania: — Długi Karabin, — powtórzyły się zaraz, skoro niecierpliwi dzicy postrzegli, że się ta krótka rozmowa skończyła.

— Słyszysz, — rzecze Magua od niechce-
nia, — Huronowie pragną krwi Długiego Ka-
rabina, albo ją wytoczą tym, co go ukrywają.

— Niemasz go tutaj, — odpowiedział ma-
jor, — uszedł dalej niż oni dosięgnąć mogą.
Magua uśmiechnął się wzgardliwie.

— Człowiek biały, — rzecze, — sądzi umie-

rając że już będzie spokojny; ale czerwony umie dręczyć nawet duch swojego nieprzyjaciela. Gdzie jest jego ciało? Pokaż Huronom jego głowę.

— Wszakże mówiłem że on nie poległ, że uszedł.

— Czy on jest ptakiem, któremu dosyć rozwinąć skrzydła?—zapytał Indyanin z niedowierzaniem wstrząsając głową; — albo rybą, która może pływać nie widząc słońca? Wódz biały czyta swoje książki i sądzi że Huronowie nie mają rozumu.

— Długi Karabin, może pływać chociaż nie jest rybą. Wystrzeliwszy ostatni nabój prochu rzucił się do rzeki, i kiedy oczy Huronów mgłą zakryte były, woda uniosła go daleko.

— I czemuż wódz biały nie uczynił tego? Czy jest kamieniem tonącym na dno, albo czy jego włosy parzą mu głowę?

— Gdyby twój towarzysz z głębi tej przepaści mógł przemówić do ciebie, do-

wiedziałybyś się że nie jestem kamieniem, który lada ręka popchnąć może; ale biali mają tego za nikczemnika kto opuszcza kobiety, — odpowiedział major, sądząc iż mu należało użyć tej szumnej mowy, co zawsze u dzikich na podziwienie zasługuje.

Magua zamruczał pod nosem kilka słów niezrozumiałych i rzekł potem:

— A Delawary czy też umieją pływać tak dobrze, jak skradać się poza krzakach? Gdzie jest Wąż Wielki?

— Uszedł podobnież za pomocą bystrej wody.

— A Jeleń Rączy? nie widzę go tutaj.

— Nie wiem o kim to mówisz, — rzecze major, chcąc zyskać cokolwiek czasu.

— Unkas, — rzecze Magua wymawiając to imię Delawarskie z większą trudnością niż słowa angielskie. — *Bounding - Elk*, przeważał człowiek biały młodego Mohikana.

— Niemogliśmy się zrozumieć, — odpo-

wiedział Hejward ; bo *elk* znaczy łos, jak *deer* daniel, a jelenia nazywamy *stag*.

— Tak, tak, — rzecze Indyanin swoim językiem i nihy sam do siebie; — twarze blade są to gadalliwe baby; człowiek czerwony samym dźwiękiem głosu wyraża wszystko, a u nich na jedną rzecz mnóstwo jest nazwisk. Obróciwszy się potem do majora, znowu odezwał się złą angielszczyzną. — Daniel jest rączy, ale słaby; łos i jelen są rącze, ale mocne: otoż syn Wielkiego Węża jest Jeleniem Rączym. Czy on przez rzekę wskoczył do lasu?

— Jeżeli mówisz o synu Mohikana — odpowiedział Hejward; — uszedł on podobnie jak ojciec i Długi Karabin, powierzając się pędowi wody.

Ponieważ w takim sposobie ucieczki, dla Indyanina nie było nic niepodobnego do prawdy, Magua nie powątpiewał dłużej; owszem uwierzył słowom majora z łatwością, pokazującą iż nie wiele dbał o pojma-

nie tych trzech zbiegów. Ale inni Huronowie widocznie nie tak myśleli w tej mierze.

Czekali oni końca rozmowy z cierpliwością odznaczającą dzikich, lecz skoro postrzegli że już obie strony zamilkły, wszyscy zwrócili oczy na Maguę, wyrazistym tym sposobem zapytując go co słyszał. Indianin wskazał ręką na rzekę, i w kilku słowach opowiedział, gdzie się podziały przedmioty ich zemsty.

Kiedy wiadomość ta stała się powszechną, dzicy wściekając się ze złości, że spodziewane ofiary rąk ich uszły, zawyli okropnie. Jedni biegali jak szaleni bijąc rękami powietrze, drudzy plwali w rzekę, niby karząc ją za to, że pomogła uciec zwyciężonym, a zwyciężcom prawną wydarła zdobycz; inni nie mniej straszni, ponuro spoglądali na jeńców będących w ich mocy i zdawało się, że jeżeli nie posuwają się do gwałtownych kroków, czynią to tylko przez ańóg powściągnięcia swych namiętności; lecz

nakoniec znaleźli się i tacy co do niemych pogróżek, przyłączyli straszliwe jesta. Jeden rozjuszony Huron chwycił śliczne włosy ulatujące po szyi Aliny, a drugi zaczął wywijać nożem koło jej głowy, jakby chcąc pokazać w jak szkaradny sposób, zostanie pozbawiona tej pięknej ozdoby.

Młody major nie mógł znieść tak okrutnego widoku i chociaż miał ręce związane chciał rzucić się na barbarzyńców; lecz w tejże chwili poczuł na ramieniu ciężką rękę Indyjskiego wodza, i przekonany że bezsilna gwałtowność bardziejby tylko rozjątrzyła zapaleńców, ulegając konieczności starał się pokrzepić nieszczęśliwe towarzyszeki zapewnieniem, że dzicy zawsze mają zwyczaj przerażać pogróżkami, których spełnić nie myślą.

Pocieszające te słowa wszakże miały tylko na celu uspokojenie sióstr złęknionych, sam zaś Hejward nie łudził się w tej mierze. Wiedział on dobrze, że władza Indyj-

skiego wodza, opierała się na bardzo wą-
 tłej podstawie, na jego siłę osobistej ra-
 czej, niżeli na jakich pobudkach umyślo-
 wych; a za tém o stopniu niebezpieczeń-
 stwa wnosić należało z liczby otaczających
 go istot dzikich. Rozkaz naczelnika mógł
 bydź złamany w tejże chwili, kiedyby któ-
 remu zapaleńcowi przyszło do głowy, cie-
 niom krewnego lub przyjaciela postać ofia-
 rę. Mimo więc całą wytrwałość i odwagę
 zamierało serce Hejwarda, skoro który
 z drapieżnych nieprzyjaciół zbliżał się do
 dwóch siostr nieszczęśliwych, albo choé tyl-
 ko zwracał ponure spojżenie na te istoty,
 nie zdolne odeprzeć najmniejszego gwałtu.

Obawa jego uśmierzyła się jednak, kiedy
 zobaczył, że wódz w celu niby narady wo-
 jennej przywołuje wojowników do siebie.
 Rozprawiano nie długo, nie wielu wystę-
 powało mowców, i jak się zdawało, jedno-
 myślnie zaszło postanowienie. Ponieważ
 mówiący często wskazywali rękoma w stro-

nę gdzie leżał oboz Weba, Hejward mógł się domyślać, że lękali się napadu wojsk angielskich. Ta też zapewne uwaga przyspieszyła ich postanowienie i wielki rozruch sprawiła między nimi.

Podczas krótkiej namowy Huronów, major zastanawiając się nad tem, jakim sposobem wylądowali na wyspę, nie mógł dosyć wydziwić się ich roztropności.

Powiedzieliśmy już, że u podnoża skały składającej połowę wysepki, zatrzymało się kilka drzew niesionych wodą. Obrali oni to miejsce do wyjścia na brzeg, zapewne dla tego, iż nie odważali się płynąć przeciw bystremu pędowi dwóch wodospadów połączonych niżej. Przeniosłszy więc łódkę lasem aż za kataraktę, złożyli w niej broń i amunicją, dwaj najwprawniejsi dziecy wsiedli do niej z wodzem, a inni w pław poszli za nimi. Tym sposobem przybili do brzegu w miejscu, gdzie nieszczęśliwie skończyła się pierwsza wyprawa ich towarzysów.

Nie można było wątpić, że takim przyplą-
nęli porządkiem, ponieważ takim odpłynąć
zamierzali. Przeniesiono czołno lądem z je-
dnego końca wyspy na drugi i zepchnięto
je na wodę przy skalistej płaszczynie,
gdzie strzelec swoich towarzyszków wy-
sadzał.

Hejward widząc że wszelkie przekłada-
nia na nicby się nie przydały, a opór był
niepodobny, dał przykład uległości potrze-
bie, wstępując do łódki natychmiast skoro
mu kazano. Obie siostry i Dawid Gamma
weszli za nim, a potem usiadł sternik, inni
zaś dzicy rzucili się wpław przez rzekę.
Huronowie nie wiedzieli o mieliznach, ani
o skałach ukrytych pod wodą; ale nie byli to
tak mało wyćwiczeni żeglarze, żeby nieznali
się na znakach wydających te miejsca, lub
popełnili błąd jakikolwiek. Wątku barka
zatem bez żadnego przypadku leciała z bie-
giem bystrej wody i za kilka minut jeńcy
wysiedli na południowym brzegu rzeki, pra-

wie wprost przeciw tego miejsca, gdzie wsiadali przeszłego wieczoru.

Indyanie złożyli tu znowu nie dłuższą od pierwszej naradę; a tymczasem kilku dzikich poszło po konie, których rzenie przyczyniło się zapewne do odkrycia ich pánów. Cała banda rozdzieliła się potem na dwoje. Wódz siadł na majorowskiego konia i z większą częścią ludzi przebywszy rzekę zniknął w lesie, a sześciu dzikich pod naczelnictwem Chytrego Lisa zostało przy jeńcach. Ten zwrót niespodziany, nową niespokojnością nabawił Hejwarda.

Z niesłychanego umiarkowania dzikich wnosił on dotąd, że zachowują ich dla wydania Montkalmowi, i ponieważ wyobraźnia dotkniętych nieszczęściem rzadko kiedy usypia, mianowicie gdy ją choć najśłabsza obudza nadzieja, roił nawet, że Jenerał francuzki mógł rachować wcześniej, iż miłość ojcowska skłoni Munra do odstąpienia powinności względem Króla. Chociaż bo-

wiem Montkalm uchodził za człowieka śmiałego w przedsięwzięciach i pełnego odwagi, znano go także z tej strony, że łatwo puszczał się na owe wybiegi polityczne, nie zawsze zgodne z zasadami moralności, które natenczas powszechnie plamiły dyplomacją europejską.

Ale ostatni postępek Huronów zniweczył wszystkie wysilone domysły majora. Kiedy wódz ze swoim oddziałem udał się ku Horykanowi, rzecz prawie widoczna była, iż pozostali mieli ich prowadzić jako niewolników w głąb pustyń. Gotów poświęcić wszystko byleby wyjść z tej niepewności morderczej, i chcąc spróbować czyliby narzeczcie pieniędzmi nie potrafił dokazać czego, przewyciężył w sobie wstręt do mówienia z dawniejszym swoim przewodnikiem, co teraz przyjął ton i minę człowieka mającego prawo rozkazywać innym, i rzekł do niego z takim pozorem zaufania, jaki zdołał wymodz na sobie.

— Chciałbym żeby Magua wysłuchał słów moich, które tylko tak wielkiemu wodzowi godzi się słyszeć.

Indyanin obrócił się do majora, spojrział wzgardliwie i odpowiedział:

— Mów, drzewa nie mają uszu:

— Ale Huronowie nie są pozbawieni słuchu, a słowa przyzwoite dla uszu wielkiego człowieka, mogłyby zawrócić głowy wojownikom młodym. Jeżeli Magua nie chce słuchać, oficer królewski potrafi milczeć.

Dziki powiedziawszy coś od niechcenia swoim towarzyszom, niezgrabnie zajmującym się siodłaniem koni dla kobiet, oddalił się od nich na kilka kroków i nieznacznym skinieniem przywołał Hejwarda.

— Mów teraz, — rzecze, — jeżeli tylko słów twoich Chytry Lis słuchać powinien.

— Chytry Lis pokazał że jest godzien zaszczytnego przezwiska, jakie dali mu jego ojcowie kanadyjscy, — rzecze major. — Poznaje

teraz roztropność jego postępowania, widzę ile uczynił dla nas i niezapomnę o tém, kiedy godzina nagrody przyjdzie. Tak, Lis pokazał że nie tylko jest wielkim wojownikiem w bitwach, wielkim wodzem w radzie, ale nadto że umie oszukiwać nieprzyjaciół.

— I cóż Lis uczynił? oziębło zapytał Indyanin.

— Co uczynił!—odpowie Hejward,—widział on, że lasy były pełne nieprzyjaciół, że nie mógł ominąć zasadzek i dla uniknienia ich zbłądził niby, a potem chcąc odzyskać zaufanie rodaków, którzy go niegdyś skrzywdzili, którzy go jak psa ze swych wigwamów wygnali, udał że powraca do nich. My zaś poznavszy jaki był jego zamiar, czyliżemy mu nie pomagali, postępując w ten sposób, aby Huronóm pokazać, że człowiek biały swojego przyjaciela Lisa miał za nieprzyjaciela? Nie prawdaż to wszystko? A kiedy Lis swoją roztropnością zamykał oczy

i zatykał uszy Huronóm, czyliż nie chciał żeby oni zapomnieli o tém, że mu niegdyś wyrządzili obelgę i zmusili do Mohawków uciekać? Potém zaś, czy nie namówił ich żeby głupcy poszli ku północy, a jego ze swojemi jeńcami zostawili na południowym brzegu? Czyliż nie myśli on teraz wrócić nazad i odprowadzić córki bogatemu Szkotowi z siwą głową? Tak, tak, Magua, poznałem ja to wszystko i myślałem już czémby nagrodzić taką roztropność i uczciwość. Dowódzca William Henryka znajdzie się wspaniale, jak na takiego wodza i za taką usługę przystoi. Cynowy medal na szyi Magui zamieni się w złoty; w rożku jego zawsze będzie pełno prochu, a w kieszeni tyle dolarów, ile kamyków na brzegach Horykanu. Daniele same przyjdą lizać mu ręce, kiedy poznają że dostał strzelbę tak długą, iż od niej ująć nie można. Co do mnie zaś, nie wiem jakby przewyższyc hojność Szkota, ale ja... wiem już... ja...

— Cóż uczyni młody wódz, przybyły z krain gdzie słońce najgoręcej dopieka? — zapytał Indyanin, gdy się Hejward zaciął, chcąc zakończyć swoje wyliczenie tém, co najmocniejszą obudza chciwość w ludach dzikich.

— Wytoczy on przed wigwamem Magui rzekę *wody ognistej*, tak niewysychającą nigdy jak ta, co tu przed jego oczyma płynie, aby serce wielkiego wodza było lżejsze niż piórko kolibra, i oddech miłszy niż zapach kwiatów najwonnejszych.

Magua w najgłębszem milczeniu słuchał zręcznej i ujmującej przemowy Dunkana, a ten dla mocniejszego wrażenia tłumaczył się powoli. Kiedy powiedział, jakiego domyśla się podstęp z strony Indyanina przeciw własnemu jego pokoleniu, przybrał on na się powierzchowność ostrożnej powagi. Kiedy uczynił wzmiankę o krzywdach, które uważał za powód do wydalenia się Hurona z jego narodu, postrzegł w o-

czach Magui zaiskrzenie tak gwałtownego gniewu, iż widocznie mógł poznać że dotknął najczulszej żyłki; a gdy zaczął rozwodzić się nad tém, czém chciał podobnie obudzić chciwość jak rozdrażnił zemstę, pozyskał przynajmniej pilną uwagę słuchacza. Chociaż Lis zadając ostatnie pytanie utrzymał całą spokojność i godność Indyanina, z twarzy jego można było wyczytać jednak, że się mocno zastanawiał, co ma odpowiedzieć na całą przemowę majora.

Po kilku chwilach milczenia, Huron podniósł rękę do ramienia obwiązanego szafra-
nem i rzekł z uczuciem :

— Przyjaciele czy robią takie znaki ?

— Gdyby Długi Karabin tę ranę nieprzyjacielowi zadał, byłaby ona tak lekka?

— Czy Delawarowie dla tego czołgają się między krzakami jak węże, żeby tych, co kochają, zatrucić swym jadem ?

— Wąż Wielki dałby się słyszeć uszóm, gdyby chciał je uczynić głuchemi ?

— Wódz biały czy kiedykolwiek używa prochu przeciw tym, co za swych braci uważa?

— A chybiaż on kiedykolwiek, jeżeli do prawdy chce zabić?

Po tych pytaniach śpiesznie oddawanych nawzajem, znowu nastąpiło krótkie milczenie. Dunkan sądząc że się Indyanin wahał, dla dokonania zwycięstwa zaczął powtarzać wszystkie obietnice nagrody, lecz Magua przerwał mu mocnem skinieniem ręki.

—Dość tego, dość,—rzecze,—Lis mądrym jest wodzem, zobaczysz, co uczyni. Idź teraz i trzymaj zamkniętą gębę; kiedy Magua przemówi, wtenczas mu odpowiesz.

Hejward uważając że Indyanin nie spokojnie poglądał na swoich towarzyszków, oddalił się natychmiast, żeby nie byź posądzonym o tajemne porozumienia z ich wodzem. Magua zbliżył się do koni, okazał że kontent z przygotowań, jakie jego towarzysze

poczynili i dał znak majorowi, żeby pomógł kobietóm powsiadać na koń; wtenczas bowiem tylko raczył przemawiać po angielsku, kiedy tego wymagała ważna i nieodbita potrzeba.

Gdy więc nie było już żadnej pozornej przyczyny do zwłoki, Dulkan chcąc nie chcąc, musiał wypełnić dany mu rozkaz i starał się tylko pocieszyć nieszczęśliwe towarzyski, opowiadając pocichu i krótko, jaki miał powód do nowych nadziei. Pocieszenie to bardzo było potrzebne obu siostrom, gdyż drżące i przerażone nie śmiały podnieść oczu, żeby nie spotkać dzikiego wzroku pana ich losu. Ponieważ koń majora i klacz Dawida poszły z pierwszym oddziałem Indyan, obadwa zatem musieli iść piechotą; lecz Dulkan rad nawet był z tego, sądząc że to uczyni podróż mniej śpieszną; ciągle oglądał się bowiem w próżnej nadziei usłyszenia w lesie nadchodzącej z twierdzy Edwarda pomocy.

Kiedy już wszystko było gotowe, Magua kazał ruszyć i znowu jako przewodnik poszedł naprzód, Dawid szedł za nim: zawrót głowy już go opuścił zupełnie, rana mniej mu dolegała i zdawało się że znał zupełnie smutne swe położenie. Dwie siostry jechały za Dawidem, major nie odstępował ich na krok, a na ostatku szli Indianie ciągle czujni i ostróżni.

Tak odbywali podróż w milczeniu, kiedy niekiedy tylko major odzywał się pocieszając swe towarzyski, a Dawid czasem przez pobożne wykrzyknienia wynurzał gorycz swoich myśli i korne podanie się woli Najwyższego. Ponieważ jadąc ciągle na południe, w prostym kierunku oddalali się od twierdzy William Henryka, łatwo było przekonać się, że Magua zgoła nie odmienił swojego zamiaru; lecz Hejward niechciał sobie przypuścić do głowy, żeby dziki oparł się ponętom obiecanych mu darów, i spuszczał się na to, iż nieraz wsteczna

na pozor droga, prosto prowadzi do celu, chytrego Indyanina.

Już ujechali wiele mil puszczy, jak się zdawało niemającej końca, a nie jeszcze nie zapowiadało kresu podróży. Major często poglądał na słońce, co nad ich głowami zło-ciło gałęzie sosen i wzdychał, żeby czóm prędzej polityka Magui pozwoliła im zwrócić się na drogę odpowiedniejszą jego nadziejom. Nakoniec wniósł sobie, że chytry Indyanin nie mogąc wyminąć wojsk Montkalma posuwających się ku północy, postanowił udać się do powszechnie znajomej nadgranicznej osady, gdzie mieszkał właściciel jej oficer znakomity, mający szczególniejsze zachowanie u sześciu narodów. W istocie wolał być oddany w ręce sir Williama Dżonsona, niż dla obminienia wojsk francuzkich zwiedzić pustynie Kanady, ale żeby dostać się do niego trzeba było jeszcze wiele mil iść przez lasy, a każdy krok od-

dała go od placu wojny i stanowiska, gdzie jego honor i powinność wzywały.

Kora tylko pamiętała o tém, co strzelec rozstając się z nimi zalecał, i wiele razy podała się jej zręczność, wyciągała rękę żeby złamać gałązkę. Ale domyślna baczność Indian czyniła wypełnienie tego zamiaru równie trudnym, jak niebezpiecznym. Spotykając zawsze groźny wzrok ponurych strażników, dla odwrócenia podejrzeń musiała zmyślać, że niby w przestachu chciała tylko zasłonić się od gałęzi. Jeden raz wszakże udało się jej złamać latorośl sumaku i w tej że chwili przyszła jej myśl dla wyraźniejszego śladu upuścić rękawiczkę. Wybieg ten nie uszedł baczności najbliższego Hurona; podniósł on i oddał jej rękawiczkę, połamiał i pokruszył kilka gałęzi w krzaku sumakowym, jakby chcąc pokazać że dzikie zwierzę przebiegało tędy, a potem wskazał ręką na swój tomahawk z tak dobitnym

spójrzeniem, iż Kora zupełnie straciła chęć zostawiania po sobie znaków przechodu.

Ślady kopyt zostawały wprawdzie, ale ponieważ obie gromady Huronów prowadziły po parę koni, to bardziej mogło w błąd wprowadzić, niżeli oświecić śpieszących na pomoc.

Hejward nieraz chciał zawołać na przewodnika i znowu go nakłaniać, lecz ponura i zimna twarz dzikiego zawsze mu odbierała odwagę. Przez całą drogę Magna nie przemówił ani słowa, zaledwo nawet dwa lub trzy razy obejrzał się na idących za nim. Patrząc tylko na słońce, albo może radząc się tych znaków, co samym dzikim są wiadome, szedł bez zastanowienia, bez namysłu i prawie w kierunku prostym przez ogromne lasy, przecięte mnóstwem dolin, wzgórków, rzek i strumieni. Czy ścieżka była ubita, czy ledwo znaczna, czy nakoniec ginęła zupełnie, ruszał równie prędkim i pewnym krokiem. Zdawało się nawet że był

nie podległy zmordowaniu: ilekroć podróżni podnieśli oczy, zawsze widzieli go pomiędzy pniami sosen idącego swobodnie z głową zadartą do góry. Pióro zdobiące wierzchołek jego włosów, ulatywało ciągle z pędem powietrza, prędkim wzruszonego biegiem.

Spieszne to dążenie nie było jednak bez kresu. Magua przebywszy nie wielką dolinę zaczął wstępować na górę nie zbyt wysoką, ale tak stromą, że dwie siostry nie mogły wjechać za nim i musiały pozyskać z koni. Kiedy dostały się na spłaszczony wierzchołek, gdzie rosło kilka drzew ogromnych, Magua już pod jednym z nich leżąc wyciągniony używał wypoczynku, dla całej gromady pożądanego niezmiernie.

KOŃCĘ TOMU PIERWSZEGO.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

F

15.435/1